PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

XXXII.

Nastała epoka ważnych przeobrażeń w społeczeństwie, a walka dawnych zasad z nowemi



W czasie przechadzki po ogrodzie, ks. Marcin prowadził się z nią pod rękę, rozmawiał długo i żywo.

w coraz jaskrawszych malowała się barwach; była to epoka nadziei i zwątpienia, fanatycznego szału i niedowiarstwa, wolnego mularstwa i czarnoksięztwa, nakoniec epoka wzrostu nauk a jednocześnie sekt rozlicznych, które bratniem łączyły się ogniwem, jakkolwiek z różnych wychodziły zasad. U nas, równie jak w innych krajach uwydatnia się w tym okresie ta rażąca sprzeczność w pojęciach i obyczajach, która godzinę przejścia oznaczyła na zegarze ludzkości. U nas, równie jak gdzieindziéj, widziemy z jednej strony rozbujałe wyobraźnią umysły, szukające ciągłych a nowych wrażeń, z drugiej napotykamy poważnych mężów, zagłębionych w księgach dziejów i prawodawstwa, którzy krzątają się gorliwie, około przeprowadzenia pożytecznych reform. W ostatnich kilku latach, poprzedzających sejm czteroletni, objawia się ogromny ruch umysłowy, piśmiennictwo w różnych kierunkach rozwija się szybko, pomnaża się znacznie liczba dzienników, drukarnie odbijają mnóstwo pism ulotnych, w których poruszono wszystkie najżywotniejsze zadania. Wyznawcy dawnych i nowych zasad szukają zarówno środków do ulepszenia społecznego bytu, więc ci i owi gotują się do starcia, bo ogromna przepaść w ich pojęciach stanowi rozdział pomiędzy niemi. W tym jednak wieku gorączkowego przejścia widziemy liczne zastępy silniejszych lub słabszych szermierzy, którzy niemal z każdym lat dziesiątkiem w inną przystrajają się barwę, a postawieni w ciągłéj walce z samemi sobą lub z otaczającem ich

społeczeństwem, upadają w końcu, jako ofiary namiętności; taki los spotkał licznych sektatorów i ich hołdowników, nakoniec tych wszystkich, którzy pod wpływem przemijających idei czasu, na cześć owych ziemskich bożyszcz wonne palili kadzidła.

Bohater nasz, ks. Marcin nie należał jeszcze do żadnej sekty, choć loża massońska w Warszawie pod tytułem: „La R. loge du Bouclier du nord;“ liczyła już wielu członków różnych narodowości, pomiędzy któremi czytamy nazwiska: Niemcewicza, Kickiego, Borzęckiego i innych, a wielkim mistrzem tak zwanego „wielkiego wschodu“ był Andrzej Mokranowski wojewoda mazowiecki. Trzy prowincjonalne loże: w Warszawie, Wilnie i Dubnie pozostawały pod jego sterem. Mówiliśmy już że i u nas uwydatniła się w obyczaju epoka walki i przejścia, choć wprawdzie socjalistyczne i sekciarskie wyobrażenia zachodu, w innej mniej jaskrawej przedstawiają się barwie, wolnomyślność w pojęciach religijnych i obyczajowych, pochopność do życia pełnego przygód i walki. oto są z jednej strony charakterystyczne cechy społeczności naszej w drugiej połowie XVIII wieku; Marcin Lubomirski powinien być zaliczony bez wątpienia do rzędu rzeczonych szermierzy, żądza odmiany losu, zawrotnych uciech i przygód paliła go nieustannie. Niedawno nasz marzyciel zamierzał porzucić kraj rodzinny i popłynąć do Ameryki, w celu wstąpienia w szeregi wojskowe, szukania nowych przygód lub zdobycia wieńca chwały; téj myśli jednak nie przyprowadził do skutku, z powodu zawikłanych interesów majątku, więc w oka mgnieniu na inne przerzucił się pole, zawód dyrektora teatru podchlebiał jego upodobaniom, łudząc przy tem nadzieją świetniejszej przyszłości. Ks. Marcin był zagrożony wówczas zupełną ruiną majątku, ale w tak smutnem znajdując się położeniu nie odmawiał jeszcze wsparcia różnym osobom, które oddawna korzystały z jego hojności. Dobra Cudnów i Bar przeszły w ręce podskarbiego w. k., ktory podał myśl księciu Marcinowi spłacenia wszystkich wierzycieli, zatem ofiarował mu swe usługi, w celu zagarnięcia reszty jego fortuny. Projekt Ponińskiego podobał się księciu, pragnął gorąco wybrnąć z ogromnych długów i zaspokoić wierzycieli, wtedy tylko spodziewał się odetchnąć swobodnie; następnie zamierzał wyruszyć w podróż za granicę, w celu zamówienia aktorów i podniesienia teatru. Ks. Marcin stale teraz mieszkał w Warszawie, w dworku własnym, przy ulicy Zielnej; żona księcia, Honorata porzuciła go zupełnie; ojciec jéj Stępkowski dawniej kasztelan obecnie wojewoda kijowski, pozwał zięcia do trybunału lubelskiego o niewypłaconą w oznaczonym czasie kwotę, w sprawie zaś małżonków okazał się gorzej niż obojętnym bo potwierdzał postępowanie córki, która bez żadnej przyczyny opuściła dom męża i starała się go nakłonić do rozwodu.

Dwór ks. Marcina w domu przy ulicy Zielnej umniejszył się teraz znacznie, cała służba jego w Warszawie z sześciu tylko składała się ludzi, nie miał nawet marszałka, którego obowiązek pełnił wprawdzie kapitan Turski, ale obecnie zarządzał majątkiem w Lubarze. Kamerdyner Trojanowski miał poruczony dozór domu w Warszawie, dawny ex huzar, niejaki Barański piastował urząd szatnego i zarazem krajczego, nadto było dwóch jeszcze pokojowców i dwóch hajduków.

Około godziny 12 zrana, siedział ks. Marcin w swym gabinecie, zadumany nad listem, który świeżo odebrał z poczty, z Niemiec od hr. Walberga, jednego z dawnych zagranicznych znajomych. Ów hr. Walberg zapraszał Marcina, w imieniu księcia Hohenlohe, ażeby przyjechał do nich i zamieszkał przez pewien przeciąg czasu w Oehringen, gdzie znajdzie gościnne przyjęcie, miłe towarzystwo i wyborną muzykę.

Ks. Hohenlohe Oehringen, był to ten sam niegdyś dwadziestoletni młodzieniec, który w czasie konfederacji Barskiej przyjechał na dni kilka do Opawy, zkąd codzienne czynił wycieczki do Krawarny, dla odwiedzenia księżny z Hadików Lubomirskiej, którą zaprašał wraz z mężem ażeby przyjechała do Oehringen. Książe ten nasłuchał się wiele od hr. Walberga o burzliwej młodości i romansowych przygodach Marcina, jako też dowiedział się obecnie z listu tegoż, że został dyrektorem warszawskiego teatru, pragnął więc poznać go osobiście, żeby zaś prędzéj przyciągnąć ciekawego gościa, polecił Walbergowi ażeby zamieścił w dopisku do swego listu wiadomość, że w tym czasie bawi w Oehringen śpiewaczka włoszka, którą zapewne możnaby zamówić do warszawskiej opery. Zaproszenie niemieckiego księcia, dobre sprawiło wrażenie na umyśle Marcina, schlebiało jego miłości własnej, upodobaniu w zabawach i w szukaniu nowych rozmaitych wrażeń; nadto dla podniesienia narodowej sceny, musiał książe koniecznie udać się w podróż, teatr bowiem w czasie zarządu Ryxa kłonił się do zupełnego upadku, z powodu braku aktorów, którzy w nadziei większego zysku porozjeżdżali się w różne strony. Dziś właśnie, miał Marcin zakończyć interes z podskarbim, od którego zależała jego podróż i dalszy los teatru, jak wspomnieliśmy bowiem już wyżej, dla spłacenia wierzycieli i zdobycia pożądanego funduszu, skłonny był książe do wszelkiej możebnej ugody. Kiedy różne projekta przesuwają się po głowie nowego dyrektora teatru, a rozważa słowa listu hr. Walberga, który mu przyrzeka dopomódz do zamowienia zdolnych śpiewaków i muzykantów, wchodzi blady, z wyrazem znużenia na twarzy Poniński i wita ks. Marcina, mówiąc: Stawiam się na słowie kochany książe i gotów jestem zakończyć wczoraj rozpoczętą umowę względem dóbr Połonnego i Lubaru, ale wprzód powinszować mu-

szę wyboru nowej aktorki, która z tak wielkim powodzeniem występowała wczoraj na scenie, w roli Kleopatry; sam król był zachwycony tém przedstawieniem i mówił do mnie te słowa: książe Marcin stworzony jest prawdziwie do dyrygowania teatrem, nie znam nikogo zdolniejszego do tego rzemiosła, niedawno zwątpiłem już zupełnie o możebności utrzymania narodowej sceny, teraz zaś gotów jestem wierzyć w jej świetną przyszłość.“ Skoro tak pochlebne słowa o tobie kochany książe, usłyszałem z ust najjaśniejszego pana, nie zaniedbałem skorzystać z téj fortunnej okoliczności i rzekłem: Nikt nie powątpiewa najjaśniejszy panie o talentach i znajomości sztuki ks. Marcina, ale scena nasza przez wydalenie się zdolniejszych aktorów, wielki poniosła uszczerbek, nadto zobowiązał się nowy dyrektor do wypłacenia Ryxowi znacznej kwoty, za ustąpienie przywileju własności teatru i widowisk, nie wiem więc czy temuż ks. Marcinowi nie zabraknie funduszu na opędzenie rzeczonych wydatków.“ Na to przedstawienie moje, król odpowiedział mi łaskawie: Co dotycze się wypłaty Ryxowi, niech książe Marcin będzie spokojny, powiem mu ażeby czekał cierpliwie, dopóki nie złoży się porządniejsza scena i nie podniesie jej dochód, zresztą i ja też dopomogę nowemu dyrektorowi, a myślę nawet o poruczeniu mu urządzedzenia dworskiego teatru i o wyznaczeniu stałéj pensji; tymczasem niech będzie dobrej myśli i stara się o sprowadzenie zdolnych zagranicznych aktorów.

— Cieszę się książe podskarbi, że najjaśniejszy pan takiem zaszczyca mię zaufaniem, a dziękuję ci serdecznie za łaskawe przymówienie się w sprawie teatru, który wiele wprawdzie przyczynił mi kłopotów, ale wiesz, jak lubię muzykę i scenę, więc nie szczędzę trudów i pieniędzy ażeby odpowiedzieć należycie zaufaniu króla i publiczności. Ale zwracając się do naszego głównego interesu, powtarzam ci książe. co wczoraj już powiedziałem: przyjmuję chętnie łaskawą twą propozycję, co do spłacenia długów i wypożyczenia mi koniecznego na podróż i inne wydatki funduszu, na co przekazuję ci i oddam urzędownie w posiadanie resztę mego majątku, prócz jednego Lubaru, który pragnę zatrzymać przy sobie.

— Wierzaj mi kochany książe, nie podobna wyłączać Lubaru, jeżeli chcesz ze mną zakończyć raz ten interes, najprzód dla tego, że imcipan Żórawski, który dopożycza pieniędzy do tego dzieła, bez odstąpienia Lubaru. nie przystąpi do żadnego układu, powtóre że niepotrzebnie uwikłasz się dobrowolnie w kłopota, skoro pozostaniesz nadal przy dziedzictwie Lubaru. Wierzaj słowu najlepszego przyjaciela książe Marcinie; dziedzictwo to cię nie zbawi, nie wybrniesz z długów nigdy i będziesz wieczny cierpieć niedostatek, skoro uporczywie zechcesz zachować majątek, który miasto przyczyniać ci dochodu, naraża cię na niepowetowane straty. Powiedz sam kochany książe, co zyskałeś na tem, że przez lat kilkanaście byłeś panem ogromnej fortuny, która postawiła cię w obecnem krytycznem położeniu? przyznaj czy nie lepiej był byś uczynił, jak ci to doradzałem już dawno, gdybyś sprzedał był rozległe dobra, dopóki jeszcze nie były przeciążone długami, a ograniczył się na szczupłej posiadłości i przyzwoitym kapitale, który przynosiłby ci dostateczny procent na opędzenie potrzeb życia w Warszawie lub w jakiej innej stolicy?

— Nie mów mi nic o przeszłości ks. podskarbi! wiesz jak niefortunna gwiazda przyświecała mi zawsze; odziedziczywszy znaczne po ojcu i stryju posiadłości, czy mogłem spodziewać się kiedy, że nienawistne losy tak ciągle i srodze ścigać mię będą i że wybrnąwszy z jednych w nowe uwikłam się długi!

— Otóż sam przyznajesz kochany książe że niespodziewałeś się tego, co widziałem tak dawno i o czem przestrzegałem cię jako najlepszego przyjaciela i koligata. Ufaj mi książe Marcinie. przyjmij środek ratuuku, jaki ci po daję, nie odrzucaj losu, który ci dziś wpada w ręce, jesteś dyrektorem teatru i widowisk, król chce dopomódz w téj antrepryzie, ja zaś pospłacam twych wierzycieli, oddam folwark w dzierżawę, wyliczę natychmiast sześćset czerwonych złotych, a na trzydzieści tysięcy dam rewers.

— Żal mi Lubaru książe podskarbi! żal mi że szacowne dziedzictwo Lubomirskich, w obce, nieznane przejdzie ręce.

— Imcipan Żórawski mój wspólnik w tym interesie, wejdzie w posiadanie Lubaru, jeżeli dopełni warunków wyrażonych w kontrakcie.

— Sprzedałem dawniej Janowiec, wyrzekłem się Cudnowa i Połonnego, mamże i resztę już oddać fortuny? Zmiłuj się ks. podskarbi, zostaw mię przy dziedzictwie Lubaru!

— Nie masz mię o co prosić, kochany książe, wszak masz zupełną wolę, co do rozrządzenia własną fortuną, ale powtarzam raz jeszcze, skoro wyłączysz Lubar z kontraktu ani myśl nawet o zrobieniu jakiegobądź interesu.

Książe Marcin zamyślił się głęboko i nastąpiła chwila milczenia, podczas której Poniński patrzył się na niego zimnym badawczym wzrokiem. Pierwszy Marcin z wyrazem boleści na twarzy, rzekł wzruszonym głosem:

— Takie snać przeznaczenie moje, wyrzeknę się nakoniec reszty dziedzicznego majątku, przystaję na wszystkie warunki, prócz ostatniego; wypłacisz mi ks. podskarbi w trzech ratach trzydzieści dziewięć tysięcy czerw. zł.; pierwszą zaś część kwoty, przynajmniej dziesięć tysięcy cz. zł. wyślesz mi na żądanie, skoro zabawię dłużej za granicą kraju, nadto zastrzegam, że zaraz po moim powrocie oddasz mi książe umówioną dzierżawę.

Podskarbi miasto odpowiedzi spuścił głowę na piersi, przyłożył rękę do czoła i namy-

ślił się przez chwil kilka, poczem rzekł stanowczym głosem:

— Zanadto łączy nas blizki związek krwi i przyjaźni, ażebym nie był skłonnym łatwo do wszelkiego możebnego ustępstwa, wypłacę w trzech ratach trzydzieści i dziewięć tysięcy czerwonych złotych, żądane zaś dziesięć tysięcy, skoro napiszesz do mnie z podróży, przyślę do wskazanego miejsca; co dotycze się dzierżawnego kontraktu, takowy pozostanie w całéj mocy, według wczoraj ułożonych już i spisanych warunków.

Ks. Marcin na znak zgody podał podskarbiemu rękę i rzekł:

— Powtarzam raz jeszcze, że przykro mi porzucać ostatnie gniazdo mojej rodziny, żal mój jednak wynagrodzi się sowicie, jeżeli dopełnisz książe przyrzeczonych warunków i pospłacasz wierzycieli, których pragnę najgoręcéj pozbawić się raz na zawsze i okazać światu, że wolę stokroć utracić całą ojcowską fortunę, niżbym miał ponieść do grobu z sobą krzywdę którego z bliźnich lub zarzut nierzetelności. Wdzięcznym ci będę ks. podskarbi za twą dobrą i sprawiedliwą radę, wolę wyrzec się nawet Lubaru, niż poczciwego przodków imienia.

Kontrakt miał być spisany w dniu następnym; podskarbi pożegnał Marcina, który ukończywszy rzeczoną umowę, zabierał się do pisania dwóch listów, jeden do kapitana Turskiego do Lubaru z doniesieniem o ułożonym kontrakcie i z rozkazem, ażeby wraz z chorążym Trębalskim przyjechał do Warszawy z powozami i końmi, przeznaczonemi do zagranicznéj podróży; drugi list miał pisać książe do porucznika Wąsowicza, który miał w zastępstwie Turskiego objąć zarząd majątku i dowództwo nad nadworną milicją, która składała się z trzydziestu żołnierzy, oprócz czterech trębaczów. Zaledwie zasiadł ks. Marcin przed stolikiem, drzwi się rozwarły i nowy znów gość wszedł do pokoju, odwrócił się książe z oznaką niecierpliwości, ale spostrzegłszy kłaniającego się nisko ufryzowanego, we fraku i w pończochach gościa, uśmiechnął się i rzekł uprzejmie: Witam wacpana i przepraszam że dzisiaj mocno będąc zajęty nie mogę mu towarzyszyć do teatru i znajdować się na próbie, którą przeto chciałbym powtórzyć w dniu jutrzejszym.

Reżyser teatru Giżycki, nie chciał być natrętnym, nie rzekłszy więc słowa, oddał powtórnie głęboki ukłon i zabierał się do wyjścia, ale książe zatrzymał go następującemi słowy:

— Proszę, zostań wacpan na chwilę, chociaż nie mam czasu znajdować się dziś na próbie, chcę jednak pomówić z nim słów kilka, a najprzód zapytuję się o zdrowie debiutantki naszéj, imcipanny Rylskiej, która z tak wielkiem powodzeniem wystąpiła w roli Kleopatry. Przyznam się wacpanu, że to młode dziewczę przeszło wszelkie oczekiwanie moje, ktoby się bowiem mógł był spodziewać, ażeby w tym wieku tyle mogła okazać sentymentu i nieporównanego animuszu?

— Swięte są słowa w. ks. m., odrzekł z niskim pokłonem Giżycki. Imcipanna Rylska czy w tragicznej czy też w komicznej roli prezentuje się wybornie, któżby powiedział widząc ją, naprzykład w rozmaitych, wcale przeciwnych sytuacjach, że ta wspaniała królowa, która czuje się być panią części świata, a kroczy tak majestatycznie i dumnie, że ta urzeczona czarem miłosnego napoju kochanka, która załamuje ręce w gwałtownej desperacji, lub nakoniec ta młoda, trwożliwa, a nie wyćwiczona jeszcze w szkole miłości panna, przez jedną i tę samą reprezentowane są personę? Uręczam w. ks. m. że imcipanna Rylska, która po wczorajszéj tragicznej roli jest zdrowa i hoża jak różyczka, skoro wystąpi za dni parę w komedji, zachwyci nas i oczaruje zarówno jak w pierwszéj reprezentacji, bo jedna już próba powiodła się doskonale.

— Cieszy mię mocno powodzenie tej komedjantki i wdzięczen jestem wacpanu niesłychanie za jéj wybór; nie tylko grą ale i powierzchownością zachwyciła nas wszystkich i zwróciła łaskawą uwagę króla!

— O, powierzchowność jej nieporównana mości książe! oczy świecą się jak gwiazdy, ramiona białe jak z alabastru, rączki drobne......

— Mniejsza o rączki mospanie, ale ruchy jéj i cały układ jest pełen gracji; jednak za długo bawiemy się rozmową o imcipannie Rylskiej, a zapomniałem wacpanu powiedzieć o moim dawno ułożonym projekcie, który teraz zapewne przyprowadzę do skutku.

— Słyszałem już że w. ks. m. udaje się w podróż za granicę....

— Tak jest, mój dawny znajomy i przyjaciel hr. Walberg zaprasza mię w imieniu księcia Hohenlohe, ażebym przyjechał do jego rezydencji w Oehringen, na którym to dworze gości obecnie znakomita śpiewaczka włoszka, którą możnaby zamówić dla naszego teatru, przy tem, ponieważ sam książe jest wielkim znawcą muzyki, a ma wyborną przy boku swoim kapelę, nastręcza się sposobność sprowadzenia zdolnych muzykantów, mianowicie jednego klawicymbalistę i dwóch skrzypków.

— W istocie, brakuje nam j. o. książe i muzykantów i śpiewaków, za rządów imcipana Ryxa najlepsi porozbiegali się komedjanci, chociaż zaś za staraniem w. ks. m. złożyła się znów tragedja i komedja, ale dopóki nie otrzymamy posiłków z zagranicy, nie utworzemy opery ani baletu, którego publiczność nasza z takiem oczekuje upragnieniem.

— Tancmistrzów zamówiłem już z Gdańska, przyjadą oni w tych dniach niezawodnie, a spodziewam się że zadowolnią spektatorów; głównie więc teraz chodzi mi o włoską operę, o którą najjaśniejszy pan się dopomina a przyrzeka osłonić swą protekcją. Jeżeli potrafię zamówić włoską śpiewaczkę, o któréj mi pi-

szą, niewątpliwie za nią, jako za swą *prima donną* ściągnie się cała trupa. Znasz więc już wacpan moje projekta, dziś nic więcéj niemam mu do powiedzenia; skoro zbliży się chwila mego odjazdu, dam waszmości szczegółową instrukcję, co do zarządu teatrem, w czasie mej nieobecności.

Giżycki głęboki oddał ukłon księciu, który do odchodzącego już dodał jeszcze:

— Cały dzień dzisiejszy mocno jestem zajęty, więc do jutrzejszego rana nie mogę znajdować się na próbie. Pozdrów wacpan odemnie imcipannę Rylską i powinszuj jej powodzenia.

Giżycki powtórnie ukłonił się swemu zwierzchnikowi i opuścił komnatę. Ks. Marcin zasiadł do pisania listów, najprzód do swych podkomendnych do Lubaru, następnie z odpowiedzią do hr. Walberga, któremu oznajmił że gwoli podanemu przez niego projektowi, wyruszy w krótce w podróż do Oehringen.

XXXIII.

Dziennik kapitana Turskiego, w czasie podróży za granicą.

Oehringen d. 20 maja.

Przejechawszy krajów i miast znacznych wiele, stanęliśmy szczęśliwie w Oehringen, w dniu wczorajszym, około godziny 12 z południa j. o. książe wraz z całym dworem rozlokował się w oberży *pod Słoniem*, gdzie mam osobny pokój obok pańskiéj komnaty; inni z naszego orszaku mieszczą się razem w obszernéj izbie, jako to: imcipan chorąży Trębalski, krajczy Barański, kamerdyner Trojanowski i imcipan Urbański skrzypek, lokaj zas jeden i dwóch hajduków stoją w przedpokoju gościnnéj izby, którą zajmuje książe.

Gospodarz nasz Jan Jerzy Manugold, człek dobrze snać wypoczęty, bo opasły i rumiany, jest wymowny i grzeczny, jak zwyczajnie oberżysta, powitał nas tysiącznemi ukłonami i przepraszał najpokorniéj księcia, że nie dość wspaniałą, jak jego wysokiéj godności przystoi, daje mu komnatę, dla mnie z wielką jest też rewerencją i tytułuje mię grafem. Skoro wyładowaliśmy nasze podróżne graty, zasiadłem wraz z księciem w jego pokoju, gdzie zastawiono śniadanie: pieczeń z sarny, jaja, masło i frukta suszone, przyczem butelkę wytrawnego wina. Oberżysta był wciąż obecny, stał za krzesłem księcia i nalewał wino, przyczem zabawiał nas opowiadaniem o ks. Fryderyku Ludwiku Karolu i jego dworze, wysławiał wielki rozum, bogactwo i hojność swego pana Wspomniał też o hrabim Walbergu jego poufnym i sekretarzu, jako utraciwszy całą niemal fortunę, znalazł przyzwoite utrzymanie przy dworze wspaniałomyślnego księcia, który nie zapomina nigdy o żadnym ze sług swoich. W dalszym ciągu gawędy, mówił oberżysta o młodéj żonie grafa, jako jest w wielkich łaskach u księcia i wodzi rej w jego domu, ale skoro mu ks. Marcin powiedział, jako ów Walberg jest jego znajomym i przyjacielem, zaczął rozwodzić się natychmiast nad wielkiemi cnotami tegoż, ubolewał nad niefortunnem zrządzeniem losu, który przyprawił o ruinę majątku tak zacnego i szczodrobliwego pana. Dowiedzieliśmy się też z opowiadania oberżysty, ze znajduje się obecnie w Oehringen trupa aktorów, którzy niedawno przybyli ze Sztudgardu, dla uciechy dziedzicznego księcia i okolicznych mieszkańców; wiadomość ta szczególną zwróciła uwagę ks. Marcina, który natychmiast zapytał się gospodarza:

— Czy w trupie, o któréj wacpan mówisz, znajduje się też śpiewaczka włoszka, panna Tamburini?

— Jest, do usług w. ks. mości, młoda, wielkiéj urody śpiewaczka, włoszka, panna Tar... Tardini.... wszak takie jest jéj nazwisko?

— Przyjaciel mój hr. Walberg nazwał ją Tamburini, w ostatnim do mnie liście, który pisał z Oehringen do Warszawy.

— Tak jest, przepraszam w. ks. mość pokornie, omyliłem się i przekręciłem nazwisko, będzie ona niezawodnie tą samą panną Tamburini, o któréj graf Walberg donosił w. ks. mości. Jego wysokość, książe nasz Fryderyk Ludwik Karol, zaszczyca ją najwięcéj swemi względami, jako też drugą komedjantkę, pannę Huppe, która najwyborniéj prezentuje się w balecie.

— Jak to? w téj trupie aktorów, znajdują się nietylko śpiewacy ale i tancerze.

— Imci pan Gotlib, dyrektor tego teatru ma aż dwunastu komedjantów, rozumie się płci obojéj, którzy reprezentują tragedje, komedje, opery i balety, ale oprócz dwóch owych panien, które jego wysokość szczególną zaszczyca łaską, reszta mizerota i hultaje.

— Gdzie mieszka dyrektor teatru wraz z swoją trupą?

— Przez cały tydzień mieszkali aktorzy w mojéj gospodzie, ale hałasowali tak okrutnie, że żona moja umierała aż z desperacji, a żaden z podróżnych panów nie chciał zatrzymać się u mnie, więc wypowiedziałem dyrektorowi kwaterę i przeniósł się do Pfedelbak z swemi komedjantami, dojeżdża co drugi dzień do Oehringen, a na żądanie jego wysokości, daje spektakle w pałacu.

Długo jeszcze o aktorach i teatrze, jako téż o dworze jego wysokości i zwyczajach tutejszych rozprawiał ks. Marcin z oberżystą, aż jedną i drugą butelkę wina wysuszyliśmy do dna, kiedy wszedł nagle wysokiego wzrostu mężczyzna i przerwał ich rozmowę.

— Witaj kochany grafie! zawołał ks. Marcin, a zerwawszy się z krzesła spotkał i uścisnął gościa, który serdecznem odpowiedział mu pozdrowieniem.

Graf Walberg ubrany starannie, w pończochach i trzewikach, z harcabem na plecach mógł miéć około szsćdziesięciu lat wieku,

twarz miał nie pomiernie długą i żółtą, czoło pofałdowane zmarszczkami, oczy maleńkie, brodę śpiczastą, słowem był okrutnie brzydki, choć uśmiechał się ciągle i dworskie arcygrzeczne miał manjery. Okazało się wkrótce z jego dyskursu, że przyszedł do gospody, w zamiarze pozdrowienia naszego księcia w imieniu jego wysokości i zaproszenia do pałacu. Ks. Marcin zaprezentował mię grafowi, jako kapitana swego regimentu i przyjaciela; ów zaś w dowód swego ku mnie respektu prosił, ażebym towarzyszył memu szefowi i udał się wraz z nim do pałacu ks. Hohenlohe....

D. 21 maja.

Kontynuję dzisiaj, wczoraj rozpoczęty dziennik, którego pisanie przerwałem nagle, z powodu niezwykłych rekreacji, któremi rozwesela nas ciągle ks. Fryderyk Ludwik Karol. Nasz ks. Marcin od onegdajszego wieczora nie wychodzi z pałacu, ja tylko sam wracam do gospody, w której przepędzam noc i rano do godziny 1 po południu, poczem assystuję przy obiedzie i aż do późnéj nocy mojemu szefowi. Książe Hohenlohe wielce na mnie jest łaskaw, zaś dla ks. Marcina ma nadzwyczajny affekt. Ale wracając się do opisu onegdajszego wieczora, zacząć muszę od portretu samego księcia, który tak był łaskaw i grzeczny, że wyszedł na nasze spotkanie, skoro z grafem Walbergiem weszliśmy do dziedzińca pałacu. Ks. Hohenlohe jest wzrostu średniego, ma powierzchowność arcywdzięczną, oczy czarne i żywe, nie okazuje zaś więcéj nad trzydzieści kilka lat wieku, żona jego czasem tylko zagląda do Oehringen, najczęściéj zaś podróżuje po Włoszech, lub odwiedza znakomitsze niemieckie stolice, obecnie rezyduje podobno u jednego z swoich krewnych, który jest też księciem i wielce dystyngowanym dygnitarzem państwa. W towarzystwie gospodarza przechodziliśmy korytarze pałacu, pomiędzy podwójnym szeregiem paziów i lokai, z których jeden roztworzył przed nami drzwi wspaniałego salonu, którego ściany obite były adamaszkiem a podłoga zasłana różnobarwnemi kobiercami. W salonie zastaliśmy cztery osoby, to jest trzech mężczyzn i jedną damę; gospodarz prezentował nam po kolei tych panów; pierwszy z nich nazwiskiem hr. Walcourt, mieszka niedaleko Oehringen, w dobrach swych dziedzicznych, w starożytnym wspaniałym zamku mimo którego przejeżdżaliśmy wczoraj i podziwiali średniowieczną strukturę. Hrabia ten jest wysokiego wzrostu, poważnéj tuszy, ma lat około pięćdziesięciu, twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą; drugi z gości, jest to młody człowiek z twarzą bladą, z oczami spuszczonemi w ziemię, zda się być w ciężkiéj zagłębiony medytacji, nazywa się on von Haller,— trzeci z kolei, już niemłody ale dziwnie fertyczny niemiec, nadskakujący ciągle księciu H.... nazywa się baron von Rozenberg. Nakoniec młoda i ładna pani, była to żona Walberga, którą przed pięciu laty ten stary graf pojął w małżeństwo.

Gospodarz i jego goście z wielką grzecznością traktowali ks. Marcina, który wciąż im na liczne odpowiadał zapytania, ci niemcy bowiem nie znają wcale naszego kraju; książe Hohenlohe i hr. Walcourt mają jeszcze jakie takie wyobrażenie o Polsce, ale fertyczny baron słuchał opowiadań ks. Marcina o rządzie i położeniu rzeczypospolitéj, jak o żelaznym wilku, wyznał mi nawet na stronie, że poznawszy nas zadziwił się mocno, że tak gładko mówiemy po niemiecku i francuzku, miał nas bowiem za nieokrzesanych i gburów i mało co więcéj cenił niż tatarów; owóż przekonałem się z dalszéj z nim rozmowy, że ów dworak z Oehringen jest wielkim prostakiem, wiadomości jego jeograficzne nie sięgają po za obrębem mil kilku okolicy w ktoréj się rodził, bo ożeniony wcześnie i obarczony licznem potomstwem, siedzi wciąż na wsi, teraz zaś prócz rezydencji księcia, nie nawiedza żadnego miasta; z początku rozgniewało mię okrutnie jego prostactwo, ale poznawszy jak jest ograniczony i śmieszny, zabawiam się z nim jak z dzieckiem, bo opowiadam mu nieskończone brednie, którym on najzupełniéj wierzy. Wszyscy zresztą, jak widać z pozoru są mocno edukowani i grzeczni; hrabiowie Walberg i Walcourt znają dobrze zagraniczne zwyczaje i mądrze rozprawiają o polityce,— mój szef bardzo długo dysputował z niemi w różnych interesujących materjach, mianowicie o rządach i polityce europejskich dworów. Młody szlachcic von Haller, jakkolwiek nie głupi musi być niemiec, najmniéj mi się podobał z tych panów, bo rzadko kiedy zagada, ciągle tak jest zamedytowany i ponury, jakby miał jaką straszną wizję przed oczami.

Małżonka grafa Walberga, snać zastępuje miejsce gospodyni domu bo wciąż zabawia konwersacją gości, a jest wcale nieszpetna i rozumna niemka. Książe gospodarz wielce respektuje rzeczoną damę, ona zaś dyryguje tu wszystkiem, jak we własnym domu, towarzyszyła nam nad wieczorem, w czasie przechadzki po ogrodzie, ks. Marcin prowadził się z nią pod rękę, rozmawiał długo i żywo, na co niemcy nie dawali najmniejszego baczenia, prócz samego księcia H.... który assystował ks. Marcinowi z drugiéj strony i wtrącił niekiedy słowo do ich dyskursu. Wieczorem przybyła trupa aktorów ze swym dyrektorem i grano przed nami operę komiczną z baletem; podwójną z tego teatru mieliśmy uciechę, bo jedna z komedjantek reprezentująca boginię, w chwili w któréj miała unosić się do nieba, spadła fatalnie na ziemię, nie poniosła jednak żadnego szwanku, a po niedługim przestanku, powtórnie z wielką gracją wzbiła się do góry.

Panna Tamburini oczarowała mego szefa grą swoją i śpiewem, to też po skończonym spektaklu długą z nią bawił się rozmową. Panna

Huppe najpierwsza w téj trupie tancerka w szczególnych jest widać łaskach księcia H., który podarował jéj dzisiaj bogate brylantowe kolce.

Dnia następnego zabawialiśmy się również jak poprzedniego, rozmową, przechadzką, a w końcu teatrem; ciż sami goście znajdowali się z nami na obiedzie i dopiero późno w nocy rozjechali się do domu. Wszyscy pokochali ks. Marcina i zapraszali go do siebie, szczególnie graf Walcourt wielce był dla nas uprzejmy, przy pożegnaniu musieliśmy dać mu słowo, że odwiedzimy go w starym zamczysku. Młody zamedytowany szlachcic von Haller odjechał razem z Walcourtem, ma to być bliski jego sąsiad i serdeczny przyjaciel. Ów prostak baron Rosenberg zapraszał również mojego szefa do swego domu w gościnę; mnie jednak pominął zupełnie, za niższą uważając mię kreaturę, bo jakkolwiek człek z niego jest mizerny i głupi, okrutnie wysoko trzyma o splendorach swego rodu, a prosty bez tytułu szlachcic nie ma u niego żadnego waloru.

Druga reprezentacja komedjantów równie jak pierwsza śmieszyła nas niezmiernie; była bowiem grana komedja, w któréj mąż prawdziwy miał rolę zazdrosnego męża, skoro zaś spostrzegł że teatralny adonis jego żony, za nadto gorący i aktualny ku niéj zda się okazywać affekt, wybiegł przed czasem zapyrzony na scenę, odepchnął silnem uderzeniem adonisa, zbasował okrutnie żonę i komedję zakończył tragikomedją, z wielką pociechą widzów, ale z nadzwyczajnem zgorszeniem dyrektora, który w napadzie gwałtownéj desperacji, posyłał wszystkich zazdrosnych mężów do piekła, a piorunując na niedyskretnego komedjanta, rad był go natychmiast w gorącéj utopić smole. Uspokoiliśmy przecie w końcu dyrektora, który odłożył sprawę z aktorami do sposobniejszego czasu a nakazał tancerzom rozpocząć reprezentację baletu, w którym imcipanna Huppe, faworyta księcia, cuda dokazywała zręczności.

D. 1 czerwca.

Dzień po dniu wyprawia dla nas książe różne krotochwile i uciechy, onegdaj ogród był illuminowany wieczorem, gdzie promenada po lądzie i po wodzie, bo pływaliśmy na czółnach po sadzawce, gospodarz z ks. Marcinem i z grafową Walbergową w jednem, a ja z grafem w drugiem czółnie. Szef mój z wielką jest attencją dla téj damy, która mile słucha jego grzecznych dyskursów i oznak adoracji, ale pono gniewa się na włoszkę, którą ks. Marcin zamawia dla naszego teatru. Oberżysta a mój gospodarz, imcipan Manugold, człek gadatliwy i niedyskretny, wypaplał mi całą historję tutejszego dworu, którą w tym dzienniku notuję w krótkości, dla pamięci. Najprzód co do grafa Walberga i jego żony naprawił mi wiele szczegółów, o których możnaby całą napisać książkę, summa zaś rzeczy jest taka, że książe dziedziczny, jako wielki wielbiciel młodych i gładkich twarzy, miał długo w wielkiem upodobaniu grafowę, którą przed kilku laty wydał za mąż za swego sekretarza, jakoż wspomnieliśmy już wyżéj, że ta dama zastępuje niejako miejsce w tym pałacu gospodyni domu, traktowana zaś jest niegorzéj jak sama księżna pani. Dziś książe H.... zobojętniał mocno dla Walbergowéj, bo ładna tancerka okrutnie wpadła mu w oczy, a odkąd obrócił ku niéj swe sentymenta, niewiadomo jaki wypadnie rezultat, choć zdaje się, że ta nowa bogini, dawne amory całkiem mu wybije z głowy. Oprócz téj romansowéj historji opowiadał mi nasz gospodarz mnóstwo ciekawych szczegółów o kilku osobach, które poznałem w Oehringen, w pałacu księcia; owoż dowiedziałem się z zadziwieniem, że ten wielki pan i książe niemiecki przyjmuje w domu i zaszczyca swą przyjaźnią massonów, illuminatów i t. p. sekciarzy, których my nazywamy pospolicie farmazonami. Znajomy nasz, ów grzeczny hr. Walcourt, jest ani mniéj ani więcéj jak mistrzem massońskiéj loży, a młody zamedytowany von Haller, ma być sekretarzem czy oratorem loży, a jest jednym z największych zelantów tego tajemniczego bractwa; w zamku też hrabiego odbywają się często sessje massońskie, na które zjeżdżają się licznie, dygnitarze, towarzysze. i inni młodsi bracia, których corocznie werbują do swego cechu.

Odwiedzałem już raz z ks. Marcinem hr. Walcourta; mieszka on w starym zamku, z bramą wysoką na froncie, z czterema wieżycami po rogach; w salach mnóstwo portretów familijnych, ale w jednéj tylko komnacie jest obicie adamaszkowe i w jednéj sufit i ściany malowane, nigdzie nie znać śladów bogactwa, sprzęty prawie wszędzie są starożytne i skromne, w jadalnéj sali stoły i ławy dębowe, stara tylko zbrojownia i liczne portrety świadczą o dawnych splendorach i magnificencji tego domu. Żona grafa jest to poważna, małomówna matrona, siedziała z nami przy obiedzie ale rzadko wtrącała się do dyskursu, córka jéj imieniem Róża, hoża i wesoła niemka żartowała często przy obiedzie z młodego Hallera, przyjaciela domu, którego snać traktuje jak brata. Damy po obiedzie wyszły do swego pokoju; gospodarz zabawiał ks. Marcina, ja zaś *dyskurowałem* z Hallerem, który jest grzeczny i oczytany, a wiele mi naprawił ciekawych rzeczy, o Niemczech, o dworze księcia wirtembergskiego w Sztudgardzie, o tamecznéj akademji i uczonych, których nazywał swemi przyjaciołmi. Słuchałem z wielkiem baczeniem opowiadań Hallera, długo jednak nie mogłem dostrzedz nic massońskiego, dopiero kiedy wszczął dyskurs o ludziach uczonych w Niemczech, niebawem jego mularskie *precepty* wyszły jak szydło z worka, bo rozwodząc się nad ich

światłem, wysokiemi sentymentami cnoty, honoru i nad ich celami, zapowiedział mi jak najwyraźniéj, że oni są temi posłańcami bożemi, którzy mają zreformować świat cały, przytem wiele innych nagadał mi niestworzonych rzeczy, o ciemnościach obecnego świata, a przyjściu nowéj ery, w któréj ma spłynąć owe światło na ziemię, zapewne z ich farmazońskiéj loży; miałem zrazu wielką ochotę splunąć na te brednie lub wyzwać go na dysputę, ale powstrzymałem mój zapał i wysłuchałem go do końca, odkładając do innego czasu dyskussję, w któréj postaram się przekonać niemca, że i my polacy znamy się na tych farbowanych lisach. Nie wiem o czem ks. Marcin rozprawiał z grafem w jego zamku; bawiliśmy tam aż do późnéj nocy, poczem pożegnaliśmy się grzecznie i wrócili do Oehringen.

D. 8 czerwca.

W ciągu zeszłego tygodnia spotkała mię fatalna przygoda w Oehringen, którą zanotować muszę w tym dzienniku, jako godną przestrogi dla podróżnych, którzy nie znając obcych zwyczajów, łatwym są często łupem zagranicznych szarlatanów. Przed kilkoma dniami zatrzymało się w naszéj gospodzie dwóch podróżnych, z których jeden mienił się być baronem von Kraft, drugi nazywał śię Wilhelmem Szolcem, marszałkiem dworu i towarzyszem barona; zaledwie wysiedli z bryki, przyszli do mnie z wizytą, a baron prosił mię o instancję do ks. Marcina, ażeby tenże ustąpił mu na dwadzieścia cztery godzin swego pokoju w gospodzie, prośbę tę popierał usilnie i z taką pokorą że nie śmiałem mu odmówić protekcji i uzyskałem pozwolenie księcia, który mieszkając w pałacu, nie potrzebował kwatery, którą na wszelki wypadek zamówił dla swojéj osoby. Służba nasza zajmowała wszystkie numera w gospodzie, tanim więc kosztem wyrządziłem baronowi przysługę, za którą on i towarzysz jego Wilhelm Szolc, kłaniali mi się uniżenie i oświadczali z wdzięcznością. Ów Szolc nazywający się towarzyszem i marszałkiem barona przyszedł do mojéj izby późno już wieczorem, podawał zaś ten pretext odwiedzin, że dowiedziawszy się od gospodarza jako jestem szlachcicem polskim, zapragnął bliższą ze mną zabrać znajomość, estymuje bowiem wysoko mój naród, a jako wiedeńczyk jest rodem, uwielbia pamięć bohatera, który z rąk pogańskich wyswobodził rodzinne i ukochane jego miasto, sławną stolicę potężnego państwa. Niemiec ten tak był wygadany i zabawny, że zadowolniony byłem z okazji bliższego z nim się zapoznania, kazałem nawet dla lepszéj ochoty podać butelkę wina, skoro zaś wysuszyliśmy ją do dna, Szolc kazał też przynieść drugą, tak więc zapijając powoli i gwarząc, zszedł nam, nie wiedzieć jak prędko cały wieczór; w końcu rozmowy wpadliśmy na trakt massonów i illuminatów, których teraz wszędzie w Niemczech, jak mrowiu, wypytywałem się więc Szolca jako świadomszego odemnie, jakie są tajemnice massonów, jako téż nie dawno nowo narodzonéj sekty illuminatów, która pono teraz rej wiedzie między wszystkiemi innemi sektami. Gość mój uśmiechnął się dobrodusznie, przysunął się do mego stołka i rzekł półgłosem: Massońska loża mój bracie już ustąpiła pierwszeństwa towarzystwu illuminatów, przed którem wszystkie sekty pierzchać muszą, jak cienie przed światłem. Usłyszawszy z ust mego gościa, tak niespodziewany argument, pomyślałem natychmiast: kto wie czy ten jegomość nie jest sam illuminatus?... ale Szolc nie dał mi długo gubić się w domysłach, bo nachylił się powtórnie i dodał tajemniczym głosem: jeżeli chcesz poznać illuminata, spojrzyj się, masz go przed sobą.... Skoro objawiłem gościowi moje zdziwienie, że człek tak jak on wypraktykowany w znajomości świata i ludzi dał się uwikłać w sekciarskie sieci, odrzekł na to z uśmiechem:

Jesteś w błędzie mój bracie, nie wiesz widzę że człek nieokrzesany i gruby nie ma wcale wstępu do naszego arcyoświeconego bractwa, nie wiesz że największe genjusze w Niemczech trzymają owego dyrekcją, ja sam nie dawno dostałem się do prześwietnego towarzystwa, dziś pierwszy mam dopiero stopień, jestem *illuminatus minor*, a ten mój towarzysz i pryncypał jest *illuminatus major*.

Odpowiedziałem mu na to krótko: nie znam waszych genjuszów, ani waszego arcymądrego bractwa, obce mi są wszelkie szarlatańskie praktyki i kabały, ale wiem dokumentnie, że wszystkie w ogóle sekty i odszczepieństwa pochodzą z namowy złego ducha, który jest onych wielkim zelantem i promotorem. Żal mi wacpana, jeżeli wierzysz ślepo w ową naukę, która niczem innem nie jest, jeno tym złotym cielcem, któremu bezbożni żydzi oddawali pokłony.“

Jegomość *illuminatus* usłyszawszy mą protestację nie popisywał się więcéj z swoją nauką, odpowiedział tylko, że nie znam wcale ustaw ich prześwietnego bractwa, które snać stawię na równi z towarzystwem massońskiem, poczem rozwodził szerokie żale nad ludzką niezgodą i przewrotnością, która stoi na przeszkodzie do urzeczywistnienia złotego wieku na ziemi; następnie kazał przynieść z oberży jeszcze jednę butelkę wina, wypił za moje zdrowie i mnie zachęcił do picia, a kiedy uraczyliśmy się już dobrze, zaprojektował mi z pokorą ażebym mu dozwolił przenocować w mojéj kwaterze.

Nie wiem czy podchmielony nieco byłem już winem, czy też że nie domyślałem się zdrady, dość że zgodziłem się natychmiast na propozycję nieznajomego gościa i dobrowolnie wpuściłem wilka do komory. Szolc położył się na przygotowanéj dla niego pościeli naprzeciw mojego łóżka, ja też zasnąłem wkrót-

ce snem twardym i długim, bo dobrze już słońce wzbiło się w górę, kiedy przetarłem oczy i podniosłem ociężałą głowę, ale wielkie było moje zdziwienie, skoro spostrzegłem że nie ma już w pokoju gościa; wiedziony jakimś instynktem włożyłem rękę pod poduszkę, a zadziwiłem się jeszcze mocniéj i zasmuciłem, skoro nie znalazłem sakiewki z pieniędzmi. Zerwałem się na równe nogi; przetrząsłem wszystkie rzeczy, kiedy zaś próżne okazywały się poszukiwania, nie bez przyczyny powziąłem supozycję, że ów gość, korzystając z mego snu ciężkiego okradł mię haniebnie. Pobiegłem do gospodarza i zapytałem o podróżnych, których przyjąłem w naszéj kwaterze, na co odebrałem odpowiedź, że jeszcze przed świtem wyruszyli w dalszą drogę, zapłaciwszy tylko za obrok i stajnię dla koni, bo wino, którem mię częstował ów gość przeklęty, brał od gospodarza na mój rachunek. Zasmucił mię srodze ten fatalny *casus*, bo sto czerwonych złotych straciłem już niepowrotnie, żałowałem, ale zapóźno, że tak nieostrożnie postąpiłem z łotrem, który był rzeczywisty *illuminatus major*, kiedy trafił w nocy do mego worka, a mnie podszedł i zaślepił tak haniebnie. Wróciwszy do mojéj stancji, spostrzegłem na pościeli owego łotra, kartkę zapisaną ołówkiem i wyczytałem następujące słowa: dziękuję ci mój kochany panie, za twe gościnne przyjęcie, pożyczam od ciebie pieniądze które znalazłem pod twą poduszką, jestem bowiem gwałtowną przyciśnięty potrzebą, nie gniewaj się za to proszę, jako też że kłamałem przed tobą, ponieważ ani ja ani pan mój nie należemy wcale do sekty illuminatów ani massonów, głupstwa takie nie obchodzą bynajmniéj poważnych ludzi, którzy jak my trudnią się *przemysłem*. Nie trudź się naprożno poszukiwaniem, bo drogi nasze są niezbadane, a najbystrzejsze oko nie wyśledzi naszych kroków.“ Bezczelność tego niegodziwca na wskróś przeszyła mię zgrozą; przeklinałem łatwowierność i zaślepienie moje, a ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, posłałem zaskarżenie do magistratu z rysopisem łotrów, rozesłałem w różne strony pogoń za niemi, ale naprożno łudziłem się przez dzień cały nadzieją pochwycenia złoczyńców, bo wpadli jak kamień w wodę i nie odszukano nawet ich śladu.

D. 28 czerwca.

Mija już sześć tygodni, jak mieszkamy pomiędzy niemcami, a ks. Marcin nie myśli jeszcze o powrocie; szalbierz Poniński nie przysyła mu przyrzeczonych pieniędzy, ten zawód smuci wielce mojego szefa, powątpiewa o rzetelności podskarbiego, ale już jest za późno.... nie chciał słuchać méj przestrogi i sam na swoją skórę ukartował kabałę, z któréj pono nie wyjdzie bezpieczny i cały. Odebraliśmy listy z Warszawy, w których nam donoszą, że Poniński zbankrutował i będzie siedzieć w kozie za długi, rozumie się, że wierzycielom ks. Marcina nic nie płaci, którzy hałasują ogromnie, szarpią sławę jego i tradują inwentarze. Nie wiem jak wiele jest w tych doniesieniach prawdy, ale wiem że niefortunny jest nasz teraźniejszy *status*, żyjemy tu wciąż na kredyt, w oczekiwaniu pieniędzy, których nadzieja przysłania umyka się coraz więcéj, bo Poniński na listy księcia nic nie odpisuje. Imcipan Trębalski chorąży i wszyscy nasi ludzie dworscy, ogromne płatają psoty, oczywiście z próżniactwa, zły duch różne poddaje im pokusy, chorąży krajczy i kamerdyner, jak szaleni latali za aktorkami, z któremi nie wiem jakim sposobem zaznajomili się tak prędko, bo oprócz polskiéj żadnéj cudzoziemskiéj nie znają mowy, ale djabeł widocznie dopomagał im w téj sprawie, bo i nie niemki rozamorowały się w nich okrutnie, szczęście że już wyjechał dyrektor z całą swą trupą, zostawiwszy tylko śpiewaczkę włoszkę, którą ks. Marcin ugodził do warszawskiego teatru, i ową też tancerkę, faworytę tutejszego księcia. Ową imcipannę Tamburini śpiewaczkę ulokował ks. Marcin na kwaterze swéj w gospodzie, żyje tu więc na naszym koszcie i ma z nami jechać do Warszawy; obie te imcipanny, śpiewaczka i tancerka, zabawiają nas często w pałacu, przygrywa im kapela nadworna, w króréj popisuje się też nasz muzyk imcipan Urbański. Choć frasuje się mocno mój książe, że Poniński nie przysyła pieniędzy, nie okazuje żadnego smutku, wybornie umie nadrabiać fantazją, przestraja się w młodego adonisa, romansuje z hr. Walbergową, przyczem uśmiecha się do śpiewaczki, któréj sute sypie oklaski, co porusza delikatne sentymenta i zawiść tamtéj damy. Hrabia Walcourt i jego bracia massonowie opętali też ze wszystkiem naszego ks. Marcina, który często już z niemi potajemne miewa schadzki; co do mnie raz tylko jeden towarzyszyłem szefowi w jego wycieczce do tego massońskiego gniazda. Imcipan Haller, tentował mię po raz drugi, jak istny lucyper, reprezentował mi wielką potęgę i obszerne panowanie mularskiego bractwa, nakoniec wyraźną podał mi propozycję, ażebym zapisał się do ich cechu a następnie apostołował w mym kraju,—przyczem dodał, jako ma niepłonną nadzieję, że bujniéj niż gdzieindziéj, w polskim, wolnym kraju, powinno się rozkrzewiać drzewo wolnego mularstwa. Odpowiedziałem mu, że już i u nas, niestety, dosyć jest massonów, że jednak nie byłem i nie będę nigdy promotorem sekty, która jest niczem innem, jeno ową apokaliptyczną bestją, a jéj zasławione przez niego panowanie na ziemi, jeżeliby się sprawdziło, czego nie daj Boże, oznacza niezawodnie blizki już koniec świata. Ostatni mój argument odebrał Hallerowi wszelką nadzieję nawrócenia mię do ich sekty, a zatem stracił ochotę do dalszéj dysputy.

XXXIV.

Dwa miesiące upłynęło od czasu przyjazdu ks. Marcina do Oehringen, mieszkał ciągle

w pałacu ks. Hohenlohe, romansował z damami, przyjaźnił się z massonami, słowem prowadził życie według opisu, który podał kapitan Turski w przytoczonym powyżéj dzienniku. Poniński nie nadsyłał mu pieniędzy, przewidywał więc książe smutne następstwa, ale zabrnąwszy raz w długi, postanowił jeszcze korzystać z kredytu, karmiąc się zawsze nadzieją odebrania pieniędzy. Skoro ks. Marcin otrzymał list od podskarbiego, w którym przeprasza go, że dotychczas nie mógł mu nadesłać przyrzeczonej kwoty, utwierdził się tem mocniéj w przekonaniu że niesprawiedliwe wieści rozgłaszają o Ponińskim i że mniemany jego przyjaciel nie zrobi mu zawodu. Łudził się znowu płonną nadzieją książe, przedłużył kres pobytu swego w Oehringen do nieograniczonego czasu, a tak polubił tutejsze towarzystwo, że zwierzył się przyjaciołom, jako chętnie powróci do nich i osiedli się stale w ich okolicy, skoro urządzi interesa swego majątku i zgromadzi odpowiednie kapitały. Walberg znał ks. Marcina w świetnéj jeszcze epoce jego finansów, rozgłaszał więc dziwy o ogromnéj jego fortunie, ztąd wszyscy uważali go za bogatego magnata, któremu z łatwością otwierali kredyt, nie chciał jednak korzystać z łatwowierności swych zagranicznych przyjaciół, jedynym jego wierzycielem był tylko oberżysta Manugold, który od czasu przyjazdu utrzymywał dwór cały księcia, w nagrodę też za to, bez skrupułu stawiał ogromne cyfry i długi spisywał rachunek. Tymczasem hr. Walbergowa coraz żywsze okazywała sentymenta względem ks. Marcina, pisywała nawet do niego z wymówkami listy, skoro nasz romansowy bohater, przepadł w zamku hr. Walcourta, z którym w przeciągu dni kilku, tajemne odbywał narady, czy też rekollekcje, zapisawszy się w poczet kandydatów massońskiéj loży.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYNALAZCA FOSFORU.

(z niemieckiego).



by zachować na zawsze w pamięci okolice wyspy Pawiéj pod Potsdamem, dość jest raz ją widzieć. Wyspa ta położona wśród srebrzących się wód rzeki Hawel, otoczona zewsząd lesistemi brzegami, wewnętrznym swoim urządzeniem, czaruje również oko przychodnia.

Śliczne ogrody i wspaniałe gmachy, oraz zwierzyniec napełniony rzadkiemi dzikiemi zwierzętami, zwabia w to miejsce licznych podróżnych.

Z całego urządzenia wysepki znać, że musi być miejscem ulubionem panów swoich.

I tak też jest rzeczywiście.

Książęta pruscy od wieków już sobie upodobali wyspę Pawią, a Fryderyk Wielki szczególnie się przyczynił do jéj upiększenia i nadał jéj dzisiejsze nazwisko.

Dawniej bowiem zwała się Królikarnią, widać że i przed wieki już nie jedna ręka przyczyniłe się tu do upiększenia, świadczy o tem aleja wiekowych dębów posadzonych jak przypuszczają w 1440 roku, chociaż znajdują się daleko starsze egzemplarze tego króla drzew, również symetrycznie rosnące, np. w kształcie wianka otaczającego prześliczny staw.

Powoli więc przez różne dodatki i upiększenia, miejsce to zamieniło się w czarodziejski ogród.

Nie zawsze jednak Pawia wyspa używała takiej wziętości, był nawet czas kiedy była w wielkiem zaniedbaniu. Różne baśnie i legendy ludowe krążyły między mieszkańcami okolic Potsdamu, czyniąc ją siedliskiem jakichś strasznych nieczystych duchów. Zkąd takie mniemanie? trudno wyjaśnić. Zdaje się jednak, że historyczne podanie, jakoby to było za czasów pogańskich miejsce ofiarnego całopalenia, najwięcéj się do tych baśni przyczyniło.

W połowie XVII stulecia, to jest za panowania kurfirsta Fryderyka Wilhelma, wyspa Pawia miała być oddaną na własność pewnemu człowiekowi, którego skryty charakter i tajemnicze podejrzane czynności, bardziéj jeszcze podniecały strach, odrazę i niewypo-

wiedziany wstręt do niéj okolicznych mieszkańców.

Tym tajemniczym gościem a następnie dziedzicem wyspy, był *Johannes Kunkel.* Przeszedł on od kurfirsta saskiego w służbę do kurfirsta brandenburskiego, za pozwoleniem którego, prowadził tu swoje djabelskie *rzemiosło*—robienia złota (1).

Działo się to ostatnich dni września 1686 r.

Po pięknym dniu babiego lata nastąpił chłodny wieczór, fale na rzece Hawel wysoko się piętrzyły i kołysały na swych grzbietach łódkę płynącą od Potsdamu do Królikarni.

W łódce téj siedziało dwóch ludzi, przewoźnik i podróżny. Ostatni, zawinięty w płaszczu kierował rudlem, przewoźnik robił wiosłem. Rozmawiali właśnie o baśniach tyczących się Królikarni, jak ją wtedy zwano.

— Przecież, mówił nieznajomy podróżny, kiedy tak oskarżacie dziedzica téj wyspy, musicie mieć na to jaki dowód?

— Dowodów nie mamy żadnych, odrzekł z niechęcią przewoźnik, ale czyż nie dość że tu mieszka? Któryż prawowierny chrześcianin mógł wytrzymać w miejscu, gdzie przed laty wyrywano serce człowiekowi i rzucano je żarłocznej bogini Jetszi-Baba na ofiarę. Cała ta okolica jest do dziś dnia przepełnioną nieczystemi duchami; a kiedy wśród nocy zapuszczamy nasze sieci, wówczas widzimy jak całemi gromadami uciekają w oczerety, unoszą się na powierzchni wód, lub biegną na ową lasami pokrytą górę, gdzie jak niegdyś, wyprawiają tańce naokoło ołtarza. Góra ta nazywa się do dziś dnia u przeklętych Wendów, którzy osiedli w okolicy Potsdamu, Baberow, z czego późniéj przerobiono na Babersberg, na pamiątkę Jetszi Baby, która tu miała swoje ołtarze i ofiary.

— Cóż za stosunek wyspy do téj góry? spytał podróżny.

— A czyż wam nie mówiłem, że tam też djabelski harc się odbywa? Zważywszy jedno z drugiem, myślę sobie, jakimby sposobem mógł Kunkel zamieszkać na téj wyspie, gdyby nie był w dobréj komitywie z kusym, inaczej te piekielne duchy nie dałyby mu pokoju. On sam ma dwóch djabłów przy sobie, jednego w ludzkiéj, drugiego w psiej postaci. Djabeł człowiek, jest koloru żółtawego, garbaty, z oczami głęboko osadzonemi i niezmiernie długim nosem; paszczę ma szeroką i jest niemym; jak chodzi to kuleje na jedną nogę, niezawodnie dla tego, że to nie noga ale kopyto końskie, a zły! jak wszyscy jemu podobni. Drugi, w postaci psa. Trzeba żebyś pan widział z jaką przezornością obiega on co wieczór całą wyspę, wietrząc czy niema kogo obcego; jak mu się oczy przewracają, niby koła ogniste, a język czerwony wisi z paszczy (1). W takiejto kompanji mieszka pan Kunkel od sześciu lat w swem państwie. Co noc słychać od strony jego domu jakieś tony, to znowu jasność niezwyczajna świeci naokoło, chociaż światła żadnego nie widać w oknach. Razu jednego spaliło się nawet całe domostwo i z pewnością mogę panu zaręczyć. że to była sprawka jego sprzymierzeńca, djabła, któremu Kunkel musiał nie zapłacić umówionego haraczu.

— Lecz jakżeż to objaśnisz? przerwał podróżny, że kurfirst trzyma na swoim żołdzie człowieka sprzymierzonego z djabłem?

— Ach panie! Wielcy tego świata nie pojmują tych rzeczy tak jak my prostaczkowie, bo przed niemi ludzie z siłą djabelską nie pokazują się tak jak przed nami. Nasz najjaśniejszy ma może najlepsze intencje, ale panie, złoto! to wielki mocarz, rzecz bardzo ponętna; a panowie nie wglądają z jakiego źródła pochodzi, aby było i nie obejrzą się jak popadną w zastawione sidła szatańskie. Niech Bóg przemieni!

Tak rozmawiając dopłynęli do wyspy. Ciemność była nieprzejrzaną. Na dany znak wioślarza, podróżny skierował łódkę do brzegu i kiedy ta uderzyła o ląd, powstał, żeby wysiąść i spytał:

— Jakże teraz wynajdę mieszkanie Kunkla?

— O! to daleko ztąd, na drugiéj stronie wyspy, odrzekł przewoźnik.

— Czemużeś mnie prosto nie zawiózł na tamtą stronę?

— Panie! dałeś mi pan wprawdzie dukata złotem, żebym pana tu przewiózł, uczyniłem to, bo jestem biedny, ale za żadne skarby w świecie nie zbliżyłbym się do szatańskiego mieszkania, gdyż zanadto dbam o swoją duszę. I panu nawet nie radziłbym tego, jakkolwiek nieznam przyczyny, tych odwiedzin. Lecz jeżeli chcecie koniecznie tam się dostać, to idźcie prosto w zarośla, w końcu których jest alea, powiadają że nią dojść można do samego domu. Jeżeli pan jutro jeszcze będziesz żyw, a chciałbyś powrócić, to proszę tylko przyjść tu i krzyknąć, he! przewoźnik, podawaj! a ja się wnet przystawię. A teraz niech was Bóg prowadzi, ja umykam, bo by mnie zwietrzył ten pies—djabeł.

---

(1) Wiadomości o Janie Kunklu, czerpane tu ze zbioru manuskryptów królewskiej biblioteki w Berlinie, zawierających: 1) Listy własnoręczne Jana Kunkla. 2) Dyploma nadanych jemu pieniężnych sum na jego chemiczne prace i doświadczenia. 3) Rewizję tych sum, podpisaną przez Denkelmana. 4) Dokument kurfirsta saskiego, mocą którego Kunkel został tamże instalowany. 5) List kurfirsta brandenburgskiego nadający Kunklowi Pawiarnią w dziedzictwo. 6) Listy Kunkla, usprawiedliwiające go przed kontrolą z nadanych jemu sum dla doświadczeń chemicznych; któréj uległ Kunkel po śmierci swego protektora, kurfirsta brandenburskiego, o czem niżéj obszerniéj będzie powiedziane i wiele innych pism, wyjętych z Archiwum Denkelmana, uporządkowanego przez samego króla. (Przyp. autora).

(1) Niemy i garbaty sługa, pudel i wszystkie baśnie o téj wyspie są historyczne. Nie bez przyczyny starał się zapewne Kunkel osłonić siebie sławą człowieka obdarzonego niby nadprzyrodzoną siłą Postąpił w téj mierze jak Thurmeisser.

Kiedy przewoźnik odbijał czemprędzéj od brzegu, marząc o chwili radosnéj, gdy się dostanie na swoją stronę, nieznajomy puścił się na los szczęścia we wskazanym sobie kierunku; wyniosłe drzewa otaczały go ze wszech stron, rzadko kiedy dozwalając przejrzéć cokolwiek jaśniéj. Rozmokła od deszczu ziemia usuwała mu się z pod nóg. Czasem sądził, że cienie jakieś przesuwały się w poprzek jego drogi, nie będąc jednak przesądnym, nie zwalniał kroku i mruczał tylko pod nosem: Przeklęte powietrze, szkaradna droga! Prawdziwie, nic się nie dziwię tym biednym ludziom, że podejrzewają Kunkla o jakąś niezwykłą siłę; jakżeż można żeby uczony wybrał sobie tak haniebne siedlisko?... Wprawdzie laboratorjum;....... nominacja na szambelana dworu, i.... dodał uśmiechając się, i taka darowizna! Cała wyspa! rzecz nielada! Ha! jeśli mu się uda jeszcze ta ostatnia próba, Kunkel będzie niezaprzeczenie wielkim człowiekiem!...

Tak rozmawiając sam z sobą, doszedł do jakiejś zatoki, od której droga prowadziła dalej wzdłuż brzegu rzeki. Zaledwo uszedł kilka kroków, gdy naraz ujrzał na powierzchni wody jasność niezwyczajną. Fale rzeki Hawel drgały w jakimś błękitnym ogniu, który się obrysowywał w kształcie najforemniejszego koła i wyglądał jak światło magicznej latarni. Swiatło to czasami bladło, to znowu świeciło tak jasno, że aż oczy raziło.

Nieznajomy zdziwiony tém zjawiskiem, musiał przyznać że w życiu swojem takiego rodzaju światła nie widział. Przeziębły, poszedł dalej drogą przez krzaki kaliny i jałowcu, za któremi o kroków 30 natrafił nareszcie na furtę ciosaną z grubych dylów.

Mimo ciemności mógł rozróżnić dachy wewnętrznych zabudowań i obaczył okno wychodzące na rzekę, z którego właśnie pochodziło niezwyczajne światło. Szukając dzwonka, natrafił na ciężki żelazny młot, którym silnie raz po raz zakołatał do furty. Odpowiedziało mu głośne szczekanie psa, światło z okna znikło i usłyszał jak się główne drzwi budynku odemknęły. Powolnym krokiem zbliżał się ktoś do furty, a nim odszukał klucza, pies wietrząc obcego, skoczył z zajadłością na drzwi, a nie mogąc ich przeskoczyć drapał swemi ogromnemi pazurami.

Nieznajomy wyjął do obrony puginał, w tém otworzono i głos potężny psa odwołał. Głos ten był głosem człowieka stojącego na ganku przeciwległego domu; owinięty w płaszcz trzymał on w ręce lewéj latarnię, a w prawéj dubeltówkę z odwiedzionym kurkiem, któréj lufy, jak dwa promienie, błyszczały przy blasku latarni. W ten sposób cała załoga wyspy zaprezentowała się od razu nieznajomemu; u furty stał niemy i garbaty sługa z djabelskim psem, a na ganku sam *Johannes Kunkel*, któremu okoliczni mieszkańcy przypisywali siłę nadprzyrodzoną czyli szatańską.

— Kto tam? Coście za jedni?! zawołał gospodarz podnosząc broń.

— Daj pokój! Nie potrzebniebyś stracił nabój, rzekł ześmiechem podróżny, odsłaniając przed latarnią twarz swoją.

— Ach! to wy! zawołał radośnie Kunkel. To wy panie Kirchmajer! Witam was, witam w moim domu, proszę daléj.

Drzwi wchodowe rozwarły się przepuszczając gościa, a alchemik podał przyjacielowi rękę.

— Krutzman! zawołał na sługę, zarygluj furtę, a ty przeklęty Cerberze, cicho bądź.

Kunkel wprowadził swego gościa do izby obszernej napełnionej książkami. Na wysokim kominie palił się z powodu chłodnego wieczoru. wesoły ogień, w oka mgnieniu stół został nakryty, i zastawiony sarnią pieczenią, obok której nęciły oczy różne doskonałe owoce, obstawione naokoło kryształowemi puharami, napełnionemi najwyszukańszem winem. Cerberus warczał jeszcze ciągle, leżąc przed ogniem, a niemy djabeł stał u progu czekając rozkazu.

Z powierzchowności, Kunkel nie miał wcale miny zagrzebanego w samotności uczonego, owszem, był to raczéj wesoły, dowcipny i pełen życia człowiek, i przy całéj dobroci, jaka się na jego twarzy malowała, przebijał pewien stopień przebiegłości. Ostatni ten wyraz jaśniej mu jeszcze w oczach przebijał, w chwili, gdy go Kirchmajer zagadnął niespodzianie.

— Cóż odkryliście?

Kunkel podjął puhar w górę, uśmiech przebiegł mu po ustach, przymrużył oczy i rzekł: mam go!

Na te słowa Kirchmajer, którego wspaniała postawa, wyrazista twarz, dawała odrazu poznać człowieka pełnego rozumu i nauki, uderzył pięścią w stół, aż szklanki się odezwały.

— Czy to być może, czy rzeczywiście zrobiliście to odkrycie?

— Dziś jeszcze ponawiałem moje próby, odrzekł Kunkel.

— Jakto? może to światło, które widziałem zbliżając się do waszego mieszkania, może to światło ztąd pochodzi?

-- A tak, rzekł chemik, proszę was, bądźcie sobie radzi, wprzód posilcie się z podróży, późniéj ja go wam pokażę.

Podczas gdy dwaj przyjaciele posilają się przy wieczerzy, powiedzmy słów kilka o życiu i przygodach gospodarza.

Johannes Kunkel rozpoczął karjerę swoją właściwie jako aptekarz, prędko jednak porzucił ten zawód i poświęcił się całkiem metalurgji, w której to nauce najbardziej wydoskonalił się w odszukiwaniu i połączeniu różnych pierwiastków i substancji.

Tym sposobem udało mu się wymyśleć najrozmaitsze komplikacje szkła, którym za pomocą chemji nadawał prześliczne kolory. W różnych krajach ogłaszał on swoją teorję i jakkolwiek był rzeczywiście uczonym, uległ je-

dnak powszechnej manji szukania kamienia filozoficznego i zaczął robić złoto. Manja ta, (podobnie jak za naszych czasów wystukiwanie duchów i kręcenie stolików) obejmowała niemal cały 17ty i 18ty wiek i nie trzeba się temu dziwić, widząc że najwięcéj panujący książęta i magnaci protegowali alchemików, łożyli własne koszta na ich doświadczenia, ba! nawet często sami się tem zajmowali.

Człowiek każden jest dzieckiem swego stulecia i musi mu swój dług wypłacić; więc i kurfirst brandenburgski Fryderyk Wielki, uległ powszechnemu prądowi.

Słysząc wiele o Kunklu, odwołał go od saskiego dworu, gdzie go podówczas sprowadził kurfirst saski Jan Grzegorz II, nie bez tajemnej nadziei wybijania wkrótce w swojej mennicy wielkiej massy złota. Z pozostałych dokumentów pismo jedno nosi podpis: A. S.

Tym pismem Kunkel jest wezwany pod wielkim sekretem na służbę „do wielkiego pana, któren życzy zachować incognito,“ zatem Kunkel ma nadesłać swoją stanowczą odpowiedź do Pragi pod adresem Achatiusa Szlejcher. A ponieważ zaraz po tym dokumencie następuje kontrakt, jeżeli go tak nazwać można, między Kunklem a kurfirstem saskim, zatem prawie z pewnością można wnosić, że list ten był pisany przez którego z szambelanów dworu saskiego, a tym „wielkim panem,“ był nie kto inny, tylko sam kurfirst Grzegorz II. Umowa ta datowaną jest od 6 październiła 1677 roku. Kiedy zaś Kunkel przeniósł się z Drezna do Berlina, nie wiadomo, wszelako w roku 1680 miał już swoją pracownię w Królikarni.

Kurfirst brandenburgski nie kładł za konieczny warunek Kunklowi robienia złota; w dokumencie darowawczym, (dat. 27 kwiet. 1865 r.) powiedziano: że Kunkel ma zajmować się „chemicznemi doświadczeniami“ mianowicie: „dostarczaniem na dwór rzadkich wyrobów szklannych i kryształowych; nie ulega jednak wątpliwości, że książe i złota się od niego spodziewał.

Kunkel posiadał wielką wziętość u dworu. Oddano mu Królikarnię na własność na wieczne czasy, dla niego i dla jego sukcesorów, z prawem pędzenia browaru etc.

Głównem jego zajęciem było wyrabianie sztucznego kolorowego szkła w różnym gatunku. Przytem nie opuszczał swoich studjów chemicznych, czego dał dowód w prześlicznych preparatach.

W roku 1678 napisał dwa dzieła i kazał je wydrukować (1). Ale od roku 1699 cała jego uwaga była zwróconą na przedmiot, który dla niego, jako dla chemika był niemałéj wagi.

Pewien alchemik odkrył przypadkiem w swoich retortach szczególniejszą materję.

(1) Sztuka robienia szkła, czyli *ars vitraria*, Lipsk 1679. Okulary chemiczne, czyli uwagi nad *principiis chemicis*. Lipsk 1678: (Przyp. autora).

Napróżno starał się Kunkel dowiedzieć od wynalazcy, jakim sposobem otrzymać ją można. Wynalazcą bowiem był kupiec Brandt z Hamburga, któren na alchemiczne doświadczenia, stracił całe swoje mienie.

Niejednokrotnie odzywał się do niego Kunkel żeby mu wykrył swoją tajemnicę, zawsze napróżno; kupiec wahał się dla niewiadomych przyczyn, a może po prostu przez zazdrość, lub też podawał sposób postępowania niewłaściwy. Tak więc Kunkel widział się zmuszonym, przystąpić samemu do odkrycia téj osobliwszéj materji. Od roku więc 1669 zajął się szczerze swoim przedsięwzięciem (1).

Lecz cóżby to było takiego?

Czytelnik zaraz się o tém dowié, gdyż w tę porę jak go Kirchmajer na wyspie odwiedził, wynalazek już istniał.

Wprzód jednakże wypada poświęcić słów kilka osobie Kirchmajera, gdyż swego czasu był to jeden z niepospolitych ludzi.

Urodził się we Francji 1635 roku. Będąc przeznaczonym przez rodziców do stanu duchownego, oddał się sam dobrowolnie nauce prawa. Mówił biegle kilku językami, pisał wiele o rzymskiém prawie, a przytem zajmował się namiętnie chemją.

Z tego powodu poznał się z Kunklem i i często przypatrywał się, z wielką uwagą, gdy ten robił doświadczenia. W Dreznie ciągle razem pracowali. Prócz tego Kirchmajer był człowiekiem światowym w całém znaczeniu tego słowa, a nawet bardzo dobrze widzianym u kilku dworów (2).

Po skończonéj uczcie, Kunkel zapalił latarnię, wziął wielki pęk kluczów i wezwał gościa, aby szedł za nim. Przeszedłszy korytarz odemknął nizkie, okute drzwiczki i zaraz dał się czuć mocny zapach siarki.

Weszli do laboratorium.

Przy jasném świetle latarni obejrzał Kirchmajer cały pokój odrazu; podobnie jak w każdéj chemicznéj pracowni, nagromadzone tam było niezliczone mnóstwo retort, nakrywek, moździerzy, chwytaczów, puszek, pęczków różnego ziela, wypchanych zwierząt, książek, szkieletów, śrub i wiele innych maszyn.

Postawiwszy światło na stole, zbliżył się gospodarz do tygla jeszcze ciepłego.

— Robota u mnie nigdy nieustaje, rzekł. Czy widzisz tę glinianą retortę z długoszyjnym chwytaczem?

W retorcie zawiera się cztery funty sproszkowanego bolusu i.... jak się wam zdaje, co tam może być jeszcze?

— Niewiem, ale powiedzcie mi, proszę.

— Zaraz się dowiécie. Mieszaninę zawartą w retorcie przepędziłem już przez wszystkie

(1) Wedle niektórych podań; niejaki Krafft, zwrócił uwagę Kunkla na wynalazek Brandt. Leibnitz wspomina w swoich pismach o doświadczeniach Brandta i Kunkla. (Przyp. aut.)

(2) Kirchmajer zostawił po sobie wiele pism, dużo w swém życiu podróżował, umarł w roku 1700. (Pr. au.)

stopnie. W chwili, kiedyście zastukali do furty, podkładałem ogień, żeby ostatni raz jeszcze przepuścić. Bądźcie spokojni, zwłoka ta w niczem mi nieprzeszkodziła, ponieważ piec mój jeszcze ciepły. To co odkryłem, oglądaliście już zdaleka, pokażę teraz zbliska.

Podprowadził ciekawego gościa pod okno wychodzące na rzekę. Na marmurowym stole pod oknem, ustawione były różne chemiczne preparaty i instrumenta. Chemik przysunął dwa wielkie kryształowe naczynia napełnione wodą, z grubemi szklannemi nakrywkami. Kirchmajer oglądając je, obaczył w wodzie mnóstwo pływających pałeczek, grubości palca które za każdem poruszeniem, sypały z siebie iskry. Kunkel odemknął nakrywkę i wyjął jednę pałeczkę. Palce jego otoczyły się płomieniem i śmierdzący dym wzniósł się w górę. Kirchmajer przelękniony, cofnął się o kilka kroków.

— A co? spytał zadowolniony chemik, czy nie wynalazłem? Zobaczcie teraz tę samą materję w całéj okazałości. Uważajcie dobrze. Poczem wziął ostrożnie preparat szczypcami i zapalił.

Zielonkawe światło rozlało się promieniem po całym pokoju, oświetlając daleko oknem powierzchnię wody.

Dwaj uczeni wyglądali jakby w zaczarowanym płomieniu.

Tymczasem wiatr wył na dworze, a podczas tego dziwnego zjawiska, dał się słyszeć od strony rzeki krzyk, zapewne którego z przestraszonych rybaków, co pod tę porę przypadkiem koło zaczarowanéj wyspy przepływał.

— Kunkel, wygrałeś! zawołał zachwycony Kirchmajer, kiedy pałeczka się wypaliła i wszystko zagasło.

— Spodziewam się, rzekł tryumfująco chemik.

— Pan Brandt z Hamburga będzie się gniewał.

Sam to odkryłem. A teraz zgadnijcie z czego ja wyciągam tę dziwną materję! Może wam się zdaje, że ze złota, ze srebra, albo z innego jakiego metalu? Z ziemi lub z kamienia? Nic z tego. Tę dziwną materję wyciągam z kości ludzkich, przyjacielu. Zdawało się panu Brandtowi, że ducha zawartego sam jeden pokonał i kazał mu, sobie jednemu służyć. Cha! cha! cha! potrafiłem i ja go nakłonić i pewno lepszy z niego zrobię użytek. Jest to materja, któréj całą wartość dopiero potomność odkryje; materja, w któréj jeszcze są wielkie tajemnice zawarte. Może właśnie przez nią podtrzymuje się jestestwo człowieka; w każdym razie, mocno jestem przekonany i wierzę, że ten tajemniczy płyn krąży we wszystkich kanałach naszego ciała.

— Jakżeż wy ją nazwiecie, tę cudowną materję? zapytał Kirchmajer.

— Fosfor, przyjacielu! Fosfor, czyli rezerwoar światła; światła, które świeci nie parząc; a zapalone pali się płomieniem i świeci daleko jak ogień z nieba. Powiadam wam, że bardzo wiele będą ludzie zawdzięczać temu odkryciu.

Niech sobie pan Brandt chlubi się, że on to wynalazł, ale i ja zrobiłem odkrycie. To jak gdyby dwóch ojców, do jednego dziecka się przyznawało. Lecz ten jest lepszym ojcem, któren to dziecko wychowywa i zdrowe, wyrosłe, w świat puści; a takim ojcem, ja będę. Nie ślepy traf, jak u pana Brandta, odkrył mi tę materję. O nie! dzień i noc przemyśliwałem, zanimem ją wynalazł i dla tego moje nazwisko będzie od niéj nieodłącznem. Pewny jestem, że mój książe będzie się cieszył. Owszem, wdzięczny jestem panu Brandtowi za jego tajemnicę.

Wielki mąż powinien być samotnym wswych działaniach.

— Już się was i tak lękają, rzekł śmiejąc się Kirchmajer. Cóż to będzie, kiedy ten nowy wynalazek będzie wszystkim wiadomy? Wtedy naprawdę będą was mieli za księcia podziemnego, ile razy zaświecicie swoim piekielnym ogniem.

— Głupcy! rzekł Kunkel, wedle nich, jak tylko człowiek ma trochę więcéj w swéj mózgownicy, to zaraz musi mieć styczność z djabłem. Jest to wcale niezły komplement dla rogatego towarzysza, bo daje mu zaszczyt obcowania ze wszystkiemi rozumniejszemi ludźmi i przyznam się, że gdyby tak było, to w piekle musi być bardzo zajmujące towarzystwo. Teraz gdyście już oglądali rzecz samą z siebie poważną, wynik głębokiej nauki i pracy starannej, pokażę wam na deser zabawkę, owoce sztuki.

To mówiąc, otworzył boczne drzwi, wszedł do przyległej sali i pozapalał w niej kilka świec. Kirchmajer aż krzyknął z zadziwienia. Była to sala, gdzie złożone były wyroby szkła i kryształów.

Mnóstwo prześlicznego szkła w rozmaitych formach i różnych kolorach, było tam rozstawione na pułkach. Jasne światło jarzące, łamało się w kunsztownych wyrobach, promieniejących jak drogie kamienie. Kunkel pokazywał swemu gościowi, jako znakomitemu znawcy, sztukę po sztuce. Najbardziej zajęła go wielka czasza, którą Kunkel przeznaczył dla swego protektora, kurfirsta brandenburgskiego. Składała się z wyrobionego misternie spodka, na którym wznosiła się czasza w kształcie muszli. Udało mu się w téj sztuce połączyć wiele rozmaitych kryształów, a kosztowne szkło podobnem było do wielkiego, wyżłobionego rubinu (2).

Tymczasem na dworze deszcz ustał, księżyc

---

(1) Kirchmajer napisał rozprawę o wynalazku fosforu, w której mile wspomina swego przyjaciela Kunkla. Rozprawa nosi tytuł: *Noctiluca constans etc. etc. Wirtemberga* 1687. (Przyp. autora).

(2) Wiele z wyrobów Kunkla przechowało się do naszych czasów. Lecz większa część została po śmierci jego protektora, rozprzedaną i przeszła w ręce prywatne lub za granicę. Główną jego sztuką było wyrabianie szkła rubinowego. (Przyp. autora).

wystąpił z za gęstych chmur i oświecał swoim srebrnem i smutnem światłem okolicę i ponure domostwo. Przyjaciele zajęci rozmową nieuważali jak pies wśliznął się do tego pokoju. Naraz zwierzę zaczęło być niespokojnem. Z uszami nastawionemi, z wyciągniętą szyją zbliżył się warcząc do okna. Podobne objawy nie były dla Kunkla nowiną; wiedział on dobrze, że ma nieprzyjaciół czychających na swą zgubę. Raz już udało im się podpalić hutę szklanną i szopę z różnemi zapasami obrócić w perzynę. Wyskoczył więc z swoją dubeltówką na ganek, wystrzelił, a szybkie uderzenie wioseł, dowiodło że nieprzyjaciel umykał. Poznał go Kunkel i na zapytanie Kirchmajera, ktoby był, nazwał pisarza ze składu drzewa, Lauera, któren oddawna napróżno się starał o przywilej założenia huty szklannej.

We dwa dni potem opuścił Kirchmajer wyspę. Prędko wiosłował znajomy nasz przewoźnik, niechcąc pozostać długo w obecności Kunkla, któren przeprowadzał swego przyjaciela aż do rzeki.

Kurfirst Fryderyk Wilchelm niezważając na żadne podszepty i obmowę nie usuwał swemu ulubionemu alchemikowi łaski i protekcji, to też póki żył, Kunkel nie lękał się żadnych pocisków ze strony nieprzyjaciół. Nie naganne postępowanie i prześliczne roboty same za nim świadczyły. Darowaną sobie wyspę ozdobił wystawieniem nowego domu mieszkalnego na miejscu starego. Dzieląc czas swój między chemię a upiększanie swego dziedzictwa rzadko kiedy się wydalał z Pawiarni; chyba, czasami do Berlina, gdzie na Klosterstrasse posiadał własny dom.

Przepowiednia jego po mału zaczęła się ziszczać. Fosfor zwrócił powszechnie uwagę uczonych. Sztuka i uczoność jego wynalazcy zyskały rozgłos zagranicą, w Anglji pisma Kunkla wdzięcznie były przyjęte.

W roku 1688 pracował nad wynalazkiem takiego szkła, któreby na podobieństwo złota lub srebra dało się wyrabiać młotkiem w różne kształty. Całe noce przesiadywał w swojem laboratorium, zwracając pilną uwagę na massy rozżarzonego popiołu.

Pewnego razu nic mu się jakoś nie udawało. Zawsze było coś w téj mieszaninie, co niweczyło najwierniejsze jego wyrachowania.

Działo się to w nocy z 28 na 29 kwietnia, zmuszony do téj wycieczki smutnym powodem, dniem przedtem Kunkel był w Potsdamie. Jego bowiem opiekun Kurfirst Fryderyk Wilhelm, dręczony wodną puchliną leżał na śmiertelnéj pościeli, oczekując z męztwem i poddaniem śmierci. Jeszcze przed południem kazał on przywołać do siebie Kunkla i cieszył się nowemi prześlicznemi okazami jego pracy. W rozmowie Kunkel objawił swemu panu, że nie bez obawy spogląda w przyszłość, wiedząc jak jego wrogi wyczekują chwili, kiedy nowy władca zastąpi teraźniejszego; — najbardziéj niepokoiło go, mogące nastąpić wyrachowanie sum, które książe kazał mu wyliczać ze swojéj kassy na chemiczne doświadczenia.

Uspokoił go Kurfirst, przywołując dwóch kamerdynerów, i w ich obecności uwalniając od wszelkiéj kontroli i odpowiedzialności z udzielanych mu sum pieniężnych, jako też i z długu, który ten niedawno, w imieniu swego protektora zaciągnął. (1)

Z sercem przepełnionem rozstał się Kunkel z swoim panem;—powróciwszy do domu, szukał on w pracy i zatrudnieniu pociechy i ulgi na swoje cierpienia, ale, jak to już wyżéj powiedziałem, tego dnia nic mu się nie udawało.

Nie dowierzająco spoglądał na nieposłuszną mieszaninę;—coraz coś nowego dorzucał do tygla, niecierpliwiéj rozniecał ogień w piecu. Minęła noc, już zaczynało dnieć, już i słońce zawitało swojemi promieniami do okna, a kosztowny płyn szklanny, leżał jeszcze spokojnie na spodzie, przykryty grubą warstwą popiołu.

Wprawną ręką sięgnął raz jeszcze chemik, by ogrzać silniéj i ożywić tę nieruchomą massę, gdy w tem spokojnie leżące żywioły podniosły się; zaczęły skwierczeć, trzeszczeć i syczeć, gorąca para wzniosła się w górę, nastąpił głośny wystrzał po którym posypały się iskry; chemik przelękniony odskoczył.

Rozżarzone retorty pękły i z rozwartego pieca wybuchł pąsowy płomień. Strumień srebra, syczącego szkła, zielonkawe i żółtawe kryształy rozlały się szeroko po podłodze pracowni; —potem wszystko ucichło, płomienie zagasły, przyduszone własnym popiołem. Na ściennym zegarze wybiła dziewiąta godzina.

Kunkel stał jakiś czas osłupiały w środku tego wzburzenia. Nareszcie podszedł powoli do pieca, odemknął klapę i lufty, rzucił okiem na pozostałe szczątki i wyszedł; na progu spotkał go niemy sługa z wyrazem przestrachu na twarzy.

— Mam złe przeczucie! rzekł chemik smutno zwieszając głowę.

W godzinę potem zastukano do jego pokoju. Na dany znak, wszedł jeden z uczniów.

— Cóż mi przynosisz? spytał chemik, podnosząc głowę od grubéj książki w któréj pilnie czytał.

— Smutną wiadomość mistrzu!“

— Wiem, rzekł Kunkel. Książe.....

— Jego książęca mość, Kurfirst Fryderyk Wilhelm zasnął w Bogu, dziś o godzinie dziewiątéj rano, w zamku swoim w Potsdamie.

---

(1) Historyczne. Nadmienić możemy jeszcze że Kunkel wstrzymywał księcia od wydatków, ilekroć ten ofiarował pieniądze na dalsze próby, ale książe odpowiadał mu na to: „Nie turbuj się, wystarczy mi na to, kiedy mogłem wczoraj przegrać 12,000 talarów.“ (przyp. autora).

Rok jeden tylko po tym wypadku używał Kunkel spokoju; nareszcie wystąpili jego przeciwnicy otwarcie przeciw niemu. Z rozkazu Kurfirsta Fryderyka III przystąpiono do obrachunku sum.

Widocznem było, że takie postępowanie wywołanem zostało przez intrygę u dworu, ponieważ książe, jako gorliwy zwolennik alchemji, z pewnością nie dałby inicjatywy do tego kroku, raczéj byłby ostatnim między zakłócającemi spokojność uczonego chemika. Wszelako wezwano oskarżonego. Zarzucono mu że odebrał z rąk zmarłego księcia 30,190 talarów. Kunkel odpowiedział że jego prace i doświadczenia, wprawdzie wymagały wielkich nakładów, lecz przy takiem zajęciu z trudnością przyszłoby się wyliczyć z każdego grosza.

Wreszcie pokazał listy nieboszczyka księcia i powołał się na dwóch świadków, przed któremi zmarły uwolnił go od wszelkiéj odpowiedzialności.

Jakkolwiek starano się mu dowieść, że po odtrąceniu wszelkich możliwych wydatków, należałoby mu zwrócić do kassy 17,000 talarów; lecz panujący książe, przez wzgląd na okazane przez Kunkla listy swego poprzednika, kazał dalsze poszukiwania zawiesić, a Kunkla uwolnić od odpowiedzialności, pod warunkiem, że wypłaci w czterech terminach 8,000 talarów; a dla pozbycia się tego ciężaru w jak najprędszym czasie, pozwolono mu sprzedać swój dom na Klosterstrasse. O zwrot kosztu budynków już nie pretendowano i pozostawiono go przy jego dziedzictwie. Nadto otrzymał pozwolenie wyjazdu na lat cztery zagranicę, pod warunkiem, że wszelkie próby i doświadczenia chemiczne nadal, będzie prowadził swoim kosztem.

Został tedy Kunkel z tryumfem na wyspie i po dawnemu wyrabiał prześliczne rzeczy ze szkła.

Z listów pozostałych dowiadujemy się, że nie przestawał uskarżać się na prześladowanie zawistnych ludzi, że chciano zniszczyć jego zakład ogniem, z poduszczeń Lauera, ciągle starającego się o przywiléj założenia huty szklannéj. Kunkel prosi zatem (wedle tych dokumentów) o zamieszczenie w pismach publicznych, wszystkich doznanych przez niego krzywd, oraz o opublikowanie, że w téj okolicy nikt prócz niego, niema przywileju a tem samem i prawa, do założenia huty szkła kolorowego.

Trudnem jest oznaczyć z pewnością do którego czasu zostawał Kunkel na wyspie. Pewnego dnia wszystko znikło. Szczekanie psa-djabła już nie straszyło mieszkańców okolicznych; kominy przestały buchać kłębami czarnego dymu; żadne światło nie świeciło więcéj, jak przedtem, na rzece Hawel próżno starano się dostrzedz ponurą postać chemika, przechadzającego się czasami w porze wieczornéj na brzegach.

Jakaż była przyczyna tego raptownego zniknięcia?

— Nareszcie! mówił lud w swej prostocie. Nareszcie miarka się przebrała. Czarnoksiężnik zaniechał pewno wypłacać djabłu winnego haraczu, a więc i dla niego wybiła ostatnia godzina. Djabeł zabrał jak swoich całą załogę, pana, sługę i psa. Chwała niech będzie Bogu że uwolnił świat i nas od ich obecności.

Z wielkiem jednak zdziwieniem, w ten sposób wierzących, wypłynął ten towarzysz lucypera znowu na powierzchnię ziemi naszéj. w Stockholmie, jako radca stanu wydziału górniczego, obdarzony szlachectwem i wielu innemi honorowemi oznakami; pod nazwiskiem *barona Kunkel von Loewendstern.* Karol XI król szwedzki, powołał go na swój dwór, a uczone towarzystwo szwedzkich naturalistów, przyjęło wynalazcę *fosforu* do swego grona. Między uczonemi nosi on imie Hermesa IIIgo, zmarł na początku 18go stólecia w wielkich dostatkach (1).

Do dziś dnia przechowało się u ludu zamieszkałego na wyspie Pawiéj podanie, najbardziéj zaś u rybaków z okolicy Potsdamu, że na téj wyspie przemieszkuje duch człowieka plującego złotem. że on za życia tak sobie upodobał to miejsce, że teraz po śmierci rozstać się z niem nie może. Widują go też często latem na brzegu wyspy w towarzystwie ogromnego czarnego psa, nie odstępującego go na krok.

---

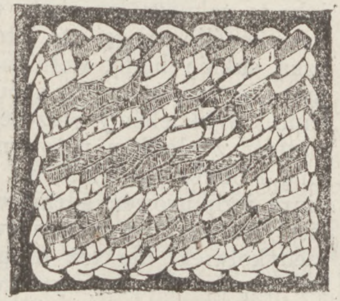
(1) Niektóre pisma podają, jakoby Karol XII powołał Kunkla do Szwecji, to się jednak nie zdaje zgadzać z chronologicznym porządkiem, ponieważ ten monarcha wstąpił na tron w 1697 roku, mając lat 15. Wolemy zgodzić się z Zedlerem, którен podaje Karola XI. (przyp. autora).

---

† Dnia 1go sierpnia r. b. zakończył życie w Wilanowie ś. p. Stanisław Przyłęcki, bibliotekarz przy tamtejszym księgozbiorze. Znany ten i gorliwy na niwie literatury ojczystéj pracownik, drukował także, jak wiadomo czytelnikom, kilka artykułów w naszém piśmie

Dodatek do Zeszytu XVI Kółka Domowego.

Kołderka szydełkowa w pasy włóczką białą.



Zrób łańcuszek długi jak potrzeba do szerokości kołdrki. Weź na szydełko dwa oczka, włóczką białą, dwa kolorową i znów dwa białą, dwa kolorową przez całą szerokość; spuszczaj teraz wszystkie oczka biorąc na przemian włóczkę białą na białe, kolorową na kolorowe oczka i przeciągnij przez wszystkie co masz na szydełku, znów zbieraj wszystkie tym samym porządkiem, a będziesz miała podłużne pasy.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Alfabet duży do bielizny stołowéj.
Nr. 2. Forma muślinowego rannego czepeczka w zakładki, oszycie falbanką muślinową, brzegiem koroneczką.
Nr. 3. Lisztewka do tegoż czepeczka.
Nr. 4. Karczek.
Nr. 5. Całość czepeczka.
Nr. 6. Szlak atłaskiem w dziurki przekalane.
Nr. 7—3. Wystrój paletotu jedwabnego aksamitką, paciorkami i koronką.
Nr. 9. Szlak do chustki od nosa, haft atłaskiem, robótka na wyciągniętych z batystu nitkach.
Nr 10—11. Kołnierzyk i mankiety; wystrój i medaliony z koronki Cluny.
Nr 12—13. Kołnierzyk i mankiety ozdobione koronką Cluny, podłożoną aksamitem czarnym.
Nr. 14—15. Forma na majteczki łącznie z koszulką dla 10-letniéj dziewczynki, Litery oznaczają jak łączyć całość, w długości od dołu jest założenie dla braku miejsca, obie połowy majteezek powinny być krajane z jednéj sztuki, złożywszy materjał w miejscu gdzie litera H i oznaczenie kropkowane.
Nr. 16. Połowa karczka.
Nr. 17. Połowa krawatki.
Nr. 18. Klapka do guziczka.
Nr. 19. Połowa kołnierzyka wykładanego.
Nr. 20. Rękaw od koszulki.
Nr. 21. Klapka do rękawka.
Nr. 22. Całość koszulki z majteczkami.
Nr. 23. Szlak na batyście, podłożenie z tiulu, ścieg giupiurowy.
Nr 24—25. Wystrój fartuszka dla małéj panienki wstążką fałdowaną, aksamitką, paciorkami, koronką i frendzlą.
Nr. 26—27. Wystrój szmizetki i mankietu z koronki Cluny podłożonéj aksamitką czarną.
Nr. 28. Mitenka z nankinu dla małéj dziewczynki.
Nr. 29. Dłoń mitenki.
Nr. 30. Duży palec do wszycia według znaku.
Nr. 31. Mankiet.
Nr. 32. Klapka górna wykładana.
Nr. 33 do 38. Szlarki do różnego użytku.
Nr. 39. Narożnik do kołnierzyka, mankietów i krawatów.
Nr. 40 do 42. Tarcze do cyfer.

O UBIORACH.

Paryż d. 27 Lipca 1866 r.

O téj porze cały elegancki świat paryzki wyniósł się po za mury miasta, musimy więc czerpać wiadomości o ubiorach, na piasczystych wy-

brzeżach Dieppe i Trouville, lub w salonach Vichy. Kolor biały jest tam dominującym i nie dziw, gdyż zastosować się daje dla każdego wieku, z tą różnicą tylko, że kobiety niemłode odmiennych używają materjałów, jako to żaknotu i perkalu na okrycia ranne, gdy młodym osobom wolno mieć muślin apagę, etc. etc., w każdéj dnia porze. Widzieliśmy np. śliczną suknię białą, wełnianą, formy zwanéj Watteau, płaską i nie fałdującą się prawie u góry spódnicy, przyozdobioną całą czarnemi aksamitkami. Widzieliśmy jeszcze suknię z jedwabnéj różowéj, w białe prążki materji, z gładkim różowym stanikiem, ozdobnym białą pasmenterją. Suknię z białego muślinu, na spodzie niebieskim ozdobioną, na staniku gipiurą i gipiurowem garnirowaniem w kształcie fartuszka na przednim brycie. Koronki są obecnie w modzie, jeżeli można tak wyrzec więcéj niż kiedykolwiek, ale też drogo kosztują i nie każdy może sobie pozwolić ich kupna. Najnowszym rodzajem jest koronka zwana *Monard*, w rodzaju *Chantilly*, od któréj tem się różni jedynie, że jest robioną nie w ręku lecz na warsztacie i przeto daleko przystępniejsza w cenie. Śliczne z niéj wyrabiają talmy, burnusy, mantylki i t. p. rzeczy, gipiury są także bardzo w modzie, a nie tyle kosztowne, bo można je robić w domu, według deseni dostarczonych przez poświęcone modom i robotom pisma. Klejnoty są obecnie tak często używane i tylu ich forma podlega odmianom, że najbogatsze panie nie mogą się zdobyć na prawdziwe. Udają się zatem do magazynu zwanego *cieniem prawdy (l'ombre du vrai)*, który dostarcza bardzo pięknych imitacji i oddaje tem samem wielką przysługę kassie mężów i ojców. Stosownie do zabawy na jaką się uczęszcza trzeba mieć odpowiednią broszę i kolczyki i tak np. panie jadące na wyścigi konne, miały ozdoby te z podkowami, biczami, szpicrutami i końskiemi głowy, te zaś które na wsi uczestniczyły polowaniu, z głowami psiemi, sarn, zajęcy i t. p. Krynoliny coraz są mniejsze i śmiesznością już byłoby ubierać się w te, które noszono jeszcze przed kilkoma miesiącami. Widzieliśmy bardzo ładne ubiory dziecinne które tu opisujemy. Sukienka z surowego płótna zwana *żniwiarką* (*moisoneuse*), zahaftowana była cała kłosami i polnemi kwiatami, które ślicznie odbijały na jéj tle, do tego mały kapelusik Watteau, również polnym przybrany maczkiem i bławatkiem. Sukienka biała muślinowa miała u dołu i na staniku haftowane wieńce z róż, do niéj był kapelusik *à la Henri IV*, z białem i czarnem piórkiem. Chłopczyki noszą zwykle kurtki i majtki szerokie bufiaste spięte u kolan, dla trzechletnich najmodniejsze majtki krótkie bluza i zwana *angielską*, to jest zwyczajna szeroka sukienka. Ubierają ich także w kostjumy irlandzkie lub bretońskie.

Nowością o któréj wam również wspomnieć muszę, jest kadzielnica zwana *vaporisateur Legrand*, od nazwy swego wynalazcy. W jednéj chwili roztacza ona woń któregokolwiek ulubionego przez nas kwiatu, tak silnie że pochłania wszelkie inne zapachy, jak np. cygar, tytoniu, lub potraw po skończonym obiedzie. Woń ta mimo to, nie działa bynajmniéj szkodliwie na nerwy, oczyszcza tylko powietrze.—Nigdy nie używano tyle szklannych paciorek, do wystroju ubiorów kobiecych co dzisiaj. Frendzle paciorkowe otaczają burnusy, kaftaniki i mantylki, paciorki błyszczą na kapeluszach i czepeczkach, taśmy z białych mlecznych perełek przyozdabiają jasne jedwabne suknie. Do tych ostatnich najmodniejsze guziki z kameami. Do ozdoby sukien lekkich używane są bardzo galony słomiane, które ślicznie wyglądają zwłaszcza przy niektórych kolorach. Cokolwiekbądź medycyna może mówić przeciw kosmetykom, nie czyni to żadnego wrażenia na naszych elegantkach i ubiegają się na wyścigi o nowe wynalazki w tym rodzaju. Najnowszym z nich jest *creme d'Oriza*, która miała wygładzać

zmarszczki i utrzymywać w świeżości, młodości tylko właściwiéj, twarz słynnéj z piękności przechowanéj w długie lata *Ninon de Lenclos*. Proszek zwany d'Oriza ma bielić płeć nic jéj nie uszkadzając, a mydło d'Oriza równie jest poszukiwane jak oba wymienione kosmetyki.

M. D.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Kwaszenie ogórków w lecie.

Trzeba ogórki dobrze wypłukać i korzonki poobrzynać, jeżeli kto chce w barszczu, to go osolić, nakłaść kopru szczypiorku, można téż czosnku, i ogórki w nim poukładać. Jeśli zaś w wodzie się kwasi, wszystko się to samo kładzie; gdy kto chce prędko miéć ukwaszone ogórki, to trzeba, żeby był barszcz lub woda trochę wpierw zlecona, a koper albo szczypiorek poukładawszy, ogórki dopiero się w nie kładzie.

Kwaszenie ogórków na zimę.

Biorą się ogórki zielone w Lipcu lub Sierpniu i na początku Września; trzymają się na piasku w piwnicy przez dni trzy, żeby obwiędły, potem płuczą się we dwóch wodach miękkich i kładą się w beczułki świeże i czyste. W ten sposób: kładą się najprzód liście dębowe, potém koper, liście wiśniowe, pieprz turecki i kilka liści winnych, dopiéro kładzie się warstwa ogórków i znowu warstwa liści jak wyżéj i t. d. Od boków beczułki kładzie się koper w pęczkach, żeby się ogórki nie dotykały drzewa, beczułka powinna być dobrze upakowaną i na wierzchu nakrytą liściami jak wyżéj. Zrobiwszy to wszystko nalać wodą miękką przegotowaną i dobrze osoloną, do beczułki np. o 12-tu garncach wody, idzie na nalanie garncy 6, a soli do niéj miesza się kwarta lub więcéj. Potém szpontuje się beczułkę i co tydzień przewraca w piwnicy z jednego końca na drugi. Trzeba uważać, żeby do piwnicy mróz nie dochodził, a ogórków aby zbyt wcześnie nie rozpoczynać.

Tort wiedeński.

Bierze się pół kwarty masła wypłukanego, potem trochę się rozpuszcza, wbija 8 jaj całkowitych, a oprócz tego 2 żółtka; to wszystko wbija się zwolna i mocno miesza pół godziny: Cukru miałkiego pół kwarty, cynamonu i skórki pomarańczowéj, mąki pięknéj wsypie się kwartę i miesza póki nie będzie znać mąki ani cukru; robią się z tego placki okrągłe na papierze nożem i kładą w wolny piec aby się ususzyły; placki te wycinają według formy okrągło i przekładają powidłami mieszanemi z konfiturami, ażeby dość wysoki był tort, obrównia się nożem, glasuje czekoladą i wstawia w wolny piec aby obsechł. Glasuje się czekoladą tym sposobem: czekolada się utrze na tarce, rozpuści z cukrem w rądelku, następnie dodać do niéj trzeba, trąc ciągle, białkó od jaja i potem lukrem oblać.

Pierniczki z mąki kartoflanéj.

Wziąść trzy filiżanki miodu, wlać go w donicę i póty wiercić, póki nie zbieleje, potem wlać 8 żółtek dobrze pierw rozbitych i znowu mieszać, wsypać trzy filiżanki mąki kartoflanéj i wiercić aby żadnych krupek nie było, na ostatek wlać białka na pianę rozbite i znowu bić dobrze, potem robi się forma z papieru jak na biszkopty i piecze się w wolnem piecu; zawsze będą smaczne i długo się konserwują.

Obarzanki.

Wziąść półtory kwarty mąki, pół kwaterek drożdży, kwaterkę mleka, kwaterkę masła, kwaterkę maku, trochę soli, wygnieść wszystko dobrze i robić obarzaneczki, które piec w wolnym piecu, posmarowawszy pierwéj jajem.

Obarzanki cukrowe.

Mąki pszennéj kwart 3, cukru pół kwarty, jaj świeżych 15, cytrynową skórkę o cukier obetrzeć i w rądelku wymieszawszy ciasto robić obarzanki, które w gorącéj wodzie sparzyć, wybrać z niéj i włożyć w zimną, na sicie osuszyć, a dnia następnego po chlebie w piec włożyć.

Baby lwowskie.

Bierze się żółtek kwartę, mleka słodkiego kwartę, masła pół kwarty, drożdzy kwaterkę, cukru pół kwarty, migdałów siekanych garść, trzeba to wszystko razem z godzinę bić, potem nalewać w formy.

Maślane bułeczki.

Do garnca miałkiéj suchéj mąki pszennéj, dobrze wygrzanéj, weź 12 jaj, pół funta czystego wypłukanego masła, kwaterkę dobrych drożdży, a mleka podług upodobania. Mąkę trzeba przesiać w nieckę, rozbić jaja, drożdże i mleko letnie, oraz roztopione wlać razem, ciasto wymieszać a potem przydawszy do upodobania cukru i trochę soli. Wyrabiać tak długo, aż samo od rąk odstanie. Wstawić do ciepła aby się ruszyło, a gdy podrośnie, robić bułeczki, które gdy się znów ruszą, wstawić w piec posmarowawszy jajem.

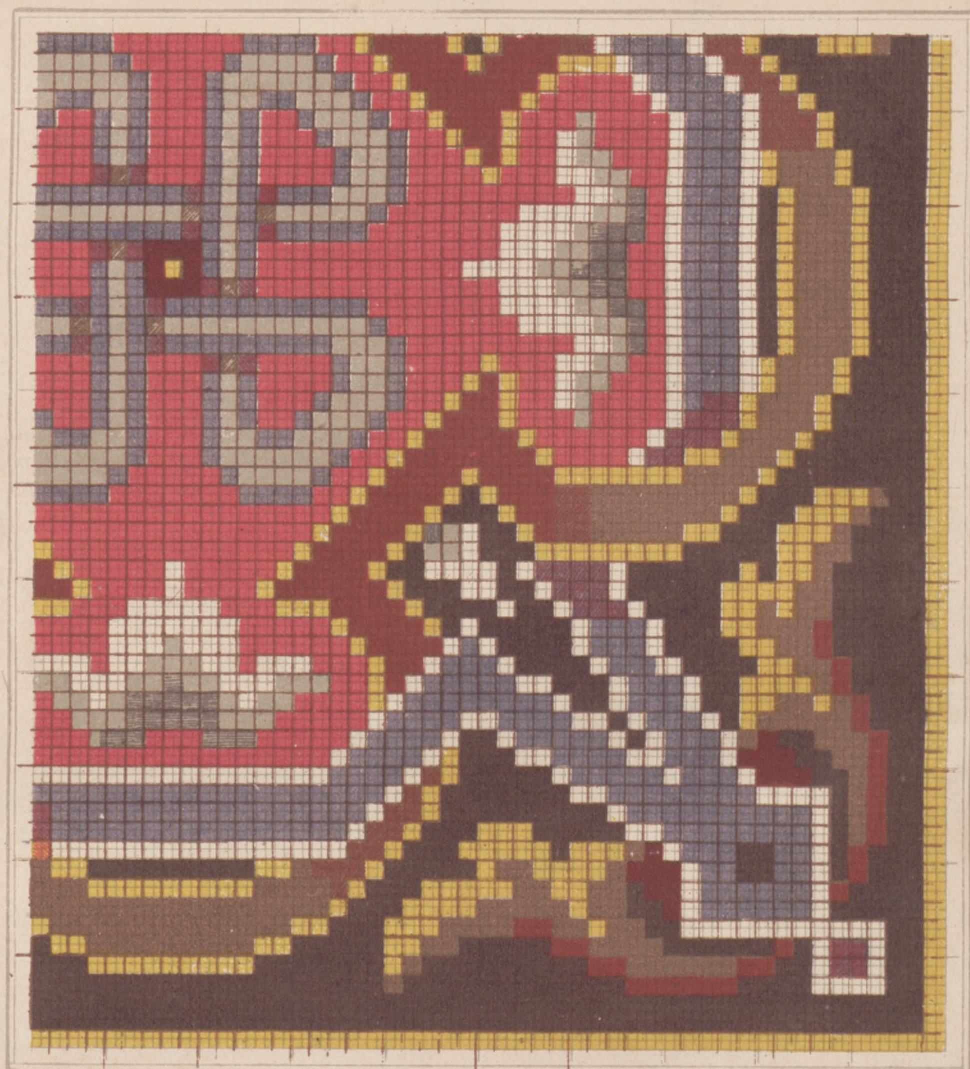
Merengi.

Ubij z białek sześciu jaj, a gdy będzie dość tego, wsyp 3 ćwierci funta cukru miałko tłuczonego, posyp cukrem, i kładź łyżką na deskę w piec nie bardzo gorący, gdy już koloru po wierzchu dostaną, wyjmij. Merengi te kładą się na desce suchéj 3 cale grubéj, aby się z dołu nie piekły ale z góry, a tym łatwiéj z papieru ułożone na spód oddzielić. Potem cokolwiek łyżką że środka wyjąwszy, a konfitur nakładszy, przyłóż jedną drugą żeby formę pączka miały. Ułożywszy na połmisku w kształcie piramidy podać do nich osobno komput lub bitą z cukrem śmietanę.

Sposób konserwowania rydzów.

Powybierać zdrowe rydze dobrze je płótnem wytrzeć, potém osolić i popieprzyć tak jak do gotowania. Następnie w słój suchy ułożyć i na wiérzchu masłem zalać; potem brać do smażenia a będą jak świeże.—Drugi sposób marynowania jest następujący: Trzeba wziąść zdrowe rydze, poobierać z korzeni i w taki sposób jak rosną, poukładać w faseczce, posypując solą i usiekawszy cebulę pryyłożyć krążkiem drewnianym i kamieniem na wierzch. Zamarynowane tym sposobem użyć można do sosów, a szczególnie są dobre zaprawione z octem, z oliwą, z cebulką posiekaną opieprzone do śniadania i pieczystego. Tych samych rydzów, gdy się umarynują wziąść w słój włożyć i octem z korzeniemi nalać, a jeszcze lepsze będą. — Jeszcze inny sposób marynowania rydzów jest: powybierać maleńkie i zdrowe rydze, obetrzéć ich i w słój poukładać, przygotować octu z różnemi korzeniami i przestudziwszy zalać je, przyłożyć krążkiem i kamieniem; do użycia albo je się zaprawia, albo też jedzą się jak korniszony. Najlepiéj przed włożeniem w słój i polaniem octem, rydze dusić w rądlu posoliwszy, przełożywszy koprem, cebulą i podlawszy trochę oliwą.

KÓŁKO DOMOWE



Atel. FORMSTECHER Frés Paris, St. Martin, 159